

ANTONYCZ

KSIEGA LWA





ANTONYCZ
KSIĘGA LWA

BOHDAN IHOR ANTONYCZ

KSIEGA LWA

*Wybrał
i wstępem opatrzył
FLORIAN NIEUWAŻNY*

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY 1981

Przekłady z oryginału ukraińskiego

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1981

ISBN 83-06-00674-7

ZAKOCHANY W ŻYCIU POGANIN

Wszyscy piszący o Bohdanie Ihorze Antonyczu, łącznie z jego narzeczoną, Olgą Olijnyk-Księżopolską, która chyba pierwsza po drugiej wojnie światowej wydobyła jego twórczość z zapomnienia, podkreślali niezwykłość jego talentu, zwracali uwagę na całkowitą samoistność poety wyrosłego przecież na niezbyt życzliwej mu glebie galicyjskich Ukraińców.

Niezwykłość poezji Antonycza miała dwa źródła: biograficzne i literackie. Urodził się 5 października 1909 roku w wiosce Nowice powiatu gorlickiego. Ojciec, tuż przed urodzeniem się jedynaka, zmienił swoje rodowe nazwisko Kot na Antonycz z obawy, że śmieszne brzmienie nazwiska mogłoby uchybić godności wikariusza wiejskiego.

Początkową edukację chłopiec zdobył w domu przy pomocy nauczycielki prywatnej, by później chlubnie ukończyć gimnazjum w Sanoku. Jesienią 1928 roku Antonycz wyjechał do Lwowa, gdzie na wydziale filologicznym uniwersytetu zaczął studiować polonistykę i sławistykę. Ukończył uniwersytet w 1933 roku, mając już wydany tom wierszy „Przywitanie życia” (1931) i przygotowując następny zbiór — „Trzy pierścienie” (1934), który ugruntuje jego pozycję poety niezależnego od rozmaitych orientacji politycznych.

Okres studiów odegrał ogromną rolę w kształtowaniu twórczej osobowości Antonycza. Środowisko studentów-ukrainistów zachęcało go do pisania wierszy po ukraińsku, pomogło opanować język literacki, jako że dotąd młody poeta posługiwał się językiem stron rodzinnych, mową Łemków. Na uniwersytecie zaczął regularnie czytać wiersze poetów z Ukrainy Radzieckiej, szczególnie wiersze Pawła Tyczyny.

Oprócz poezji Antonycz uprawiał krytykę literacką, publikował satyryczne felietony i parodie, prowadził kronikę literacką w czasopiśmie „Dażboh”, rozpoczął pracę nad powieścią „Na drugim brzegu”, ułożył libretto do opery „Dowbusz” i redagował czas jakiś czasopismo „Karby”. Trzeba jeszcze wspomnieć, że również malował, grał na skrzypcach, komponował muzykę i nosił się nawet z myślą pozostania kompozytorem. Olga Olijnyk-Księżopolska wspomina, że niezbyt poważnie jednak traktował tę myśl: „ludzie przechodzą odrę poetycką, a ja muzyczną”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że fascynacje muzyczne znalazły swój wyraz jedynie w tomie „Przywitanie życia”, natomiast o wiele bardziej pochłonęło go malarstwo, które wycisnęło wyraźne piętno na jego późniejszej liryce, zebranej w tomach „Trzy pierścienie”, „Księga Lwa” (1936), „Zielona ewangelia” (1938), „Obroty” (1938) — dwa ostatnie tomy ukazały się po śmierci Antonycza, który zmarł 6 lipca 1937 roku na zapalenie płucnej po operacji wyrostka robaczkowego. Jego współtowarzysz Światosław Hordyński tak pisał o tym bolesnym wydarzeniu: „Słonecznego lipcowego dnia smutny kondukt odprowadzał go lwowskimi ulicami na Cmentarz Janowski do mogiły leżącej u stóp rozłożystych drzew i wśród gęstych traw. Było coś symbolicznego w powrocie autora «Zielonej ewangelii» do tego

wybujalego roślinnego świata zieleni, pijaności, wzrastania i bujania soków, czemu dał taki mistrzowski wyraz w swej poezji."

W ciągu sześciu lat intensywnej pracy, wieńczących krótkie dwudziestoosmioletnie życie poety, Antonycz przeszedł ogromną ewolucję, pozostając jednak samym sobą, Łemkiem urzeczonym słońcem, „zakochanym w życiu poganinem”. Zmarły tak młodo, a żyjący niesłychanie skondensowanym wewnętrznym życiem intelektualnym przy zewnętrznych oznakach spokoju, zrównoważenia typowego inteligenta zarabiającego piórem, Antonycz powtórzył jakby drogę wielu liryków rodzimych i europejskich, którzy spłonęli od nadmiernej temperatury uczuć, myśli i wyobraźni, jak Shelley, Lermontow, Macha, Petefi, Rimbaud, Liebert, Jesienin, Czumak czy Włyżko.

Mimo przyśpieszonego, jak teraz widać, rozwoju twórczego Antonycz z ogromną trudnością odnalazł swą drogę, którą poszedł później pewnie i szybko. Czekala go nieunikniona walka z opornym tworzywem słowa, którego szlifowania wypadło mu się dopiero uczyć, musiał pokonać bierności ukraińskiej tradycji poetyckiej w Galicji, wciąż tkwiącej w konwencji postromantycznej czy postmodernistycznej, że wspomnę tylko Bohdana Łepkiego, Petra Karmańskiego, Wasyla Szczurata czy lewicującego Wasyla Bobyńskiego, był zobowiązany do zajęcia zdecydowanego stanowiska wobec kuszącej konwencji skamandrytów, zwłaszcza słowiarstwa i sensualizmu Tuwima, słoneczności, młodzieńczego zawadiactwa i fascynacji sportem Wierzyńskiego, musiał określić się wobec nęcących go propozycji imagizmu Ezry Pounda i imażynizmu Jesienina oraz religijnego zachwyty nad światem Claudela.

Te dylematy łącznie z pokusą tworzenia wszystkiego

od nowa i po nowemu znalazły swój wyraz w tomie „Przywitanie życia”, w jego eklektyzmie, pstrokaciźnie tematycznej i formalnej, w słownej maestrii, w różnorodności stroficznej, w prezentacji obrazów zaczerpniętych z poezji zachodnioeuropejskiej i polskiej, zabarwionych ostrożnym surrealizmem. Drugą cechą tego debiutanckiego tomu było pojawienie się i zapowiedź typowo antonyczowskich obrazów, jak w wierszu „Zielona ewangelia” czy „Autobiografia”.

Te właśnie cechy zostaną rozwinięte w późniejszych tomach. „Trzy pierścienie”, to wykwit szczerej, spontanicznej liryki czerpiącej siłę, barwność, wyrazistość z nawrotu do dzieciństwa, z malowniczego pejzażu łemkowskiego, mitologii Łemków, z ich obyczajowości, gdzie zbiegły się wpływy całej Słowiańszczyzny — tej pogańskiej i tej poddanej religijno-obyczajowym modyfikacjom greko-katolickim, katolickim czy prawosławnym.

Ma rację Mikulaś Nevrlý, kiedy konstatował: „Nikt przed Antonyczem ani nikt po nim nie wsławił tak Łemkowszczyzny pieśnią pełną miłości. Istotnie, dzikiemu pięknu gór i połonin krajobrazu łemkowskiego towarzyszą obrazy pogańskiego świata mieszkańców tego kraju z jego szlachetnymi zbójami-opryszkami, z tajemnymi praktykami święcenia kul, warzenia ziół. Na obraz tego nasyconego poezją świata nakłada się wizja realnej, biednej, cherlawej z głodu Łemkowszczyzny, skąd rekrutowali się liczni emigranci wyjeżdżający na zarobek:

Pod siwym niebem tu spoczęła
ziemia jałowca, ziemia owsa.
Tu boleść mchami owinęła
krajnę zadumaną, obcą.
Jak symbol nędzy wszystko cieśni
lebioda marna — ziele głodu.

Odwieczne niebo i bezkresne,
wieczna łemkowskiej nędzy kłoda.

Elegia o śpiewających drzwiach

W „Trzech pierścieniach” mamy do czynienia z mitologizacją dzieciństwa. W filtrze wspomnień o wiejskim dzieciństwie, o obrzędach, obyczajach, życiu codziennym wsi łemkowskiej obraz Łemkowszczyzny nabiera cech baśniowych, niezwykłych. W niezwykłości nurza się również sama sztuka tworzenia poezji, która urzekła Antonicza uważającego, że dar poetycki grozi mu oderwaniem się od korzeni dzieciństwa, od gleby przyrody. Dlatego też usilnie z pomocą tejże sztuki słowa usiłuje ustawicznie wracać do przyrody, odsłaniać jej tryskające życiem piękno.

Dokonyuje tego poeta dwoma sposobami: za pośrednictwem „elegii” — spontanicznych, barwnych wizji przyrody, chociaż wyrażonych długimi, z pozoru „epickimi” wierszami, i za pośrednictwem lirycznych miniatur, jakby raptownych błysków flesza, pomagających utrwalić urodę życia, przyrody, ludzi i radośnie acz boleśnie zdziwionego samego poety wpatrzonego w bliski mu świat Łemków.

Owa dwoistość konstrukcji wiersza będzie występować w dalszych tomach — odpowiednikiem „elegii” będą „księgi”, a odpowiednikiem miniatur — „liryczne intermezza”. Elegie — płynne, wartkie potoki obrazów z dzieciństwa przekształcą się w kunsztowne ballady lub świadomie chropawe liryko-epickie utwory nasyczone myślami, obrazami jakby odlanymi ze stygnącej lawy.

Miniatury nie ulegną tak daleko idącej metamorfozie — będą to zawsze szybkie, błyskawiczne ujęcia chwili, przeżycia utrwalone w wyrazistym obrazie, który

stopniowo nabierze obok słonecznych cech dramatycznych, mrocznych.

Baśniowy świat „Trzech pierścieni” tylko krok dzieli od zmitologizowanej rzeczywistości „Księgi Lwa”, już w samym tytule wskazującej na odwołania do mitu i to wielorako rozumianego. Jak wiadomo, Lew jest piątym znakiem zodiaku i symbolizuje siłę słońca, wolę, oczyszczającą siłę ognia, sam ogień. W alchemii lew stanowił symbol złota. W heraldyce był synonimem męstwa, majestatu władcy, siły ziemskiej a także świeżości i witalności poranka. W ewangelii księgą Lwa jest ewangelia św. Marka, wreszcie lew to symbol, herb Lwowa, chociaż poeta nie łączył najprawdopodobniej tytułu z miastem, w którym osiadł i tworzył.

O tym, że Antonycz pamiętał o powiązaniach tytułu swojego zbioru z różnorodnymi interpretacjami mitu, świadczą symbole występujące w dwóch poprzednich tomach, gdzie poeta często odwoływał się do słońca, ognia, odwagi, złota, poranka — zjawisk rozświetlonych, nasyconych ciepłem. Jak powiada Gaston Bachelard: „Jeżeli wszystko, co zmienia się wolno, tłumaczy się życiem, to wszystko, co zmienia się szybko, tłumaczy się ogniem (...) Jest bogiem opiekuńczym i strasliwym, dobrym i złym. Ogień może sobie zaprzeczać — jest więc jedną z zasad uniwersalnego wyjaśniania.” Mistycyzmu można dopatrzeć się także w tym, że poeta stosuje liczby magiczne, wyróżniane przez kabalistykę (trzy, siedem, dwanaście).

W „Księdze Lwa” świat przyrody nie jest tylko przedmiotem fascynacji, najczęściej ujętej sensualistycznie, wręcz na sposób pogański, lecz przenikając do podświadomości nabiera cech esencjonalnych, wynikających z egzystencji w tym ziemskim świecie urody pysznej, witalnej, dojmującej do bólu. Jest to świat intensywnych doznań i ekstatycznych nieomal zachwyków, świat aro-

matów, zieleni, jodeł, smreków, żywicy, ziół, roślin, drzew oraz zwierząt: najczęściej lisów, lwów, saren, zająców, a jeszcze częściej żrebiąt, lisiąt czy młodych zajączków.

Mamy tu do czynienia z obszernym zielnikiem poetyckim i bogatym bestiariusz poety, którego cechuje swoista odmiana panteizmu, pogańskie zachłyśnięcie się życiem, chęć namacalnego obcowania ze światem. Podmiot liryczny coraz mocniej utożsamia się ze światem zwierzęcym, a zwłaszcza roślinnym. Wydaje się, że Antonycz osiągnął ten stan „zielonej rozkoszy”, o którym pisał Tuwim w „Leśnej sprawie”, i fizycznie przestaje być człowiekiem, stając się jakimś stworem tej roślinopodobnej przyrody, której cykliczność będącą atrybutem wieczności dobrze rozumie, jak rozumie ciągłość ludzkiego istnienia jako cząstki tej przyrody. „Pieśń o niezniszczalności materii” jest jak gdyby przeciwwagą wahań i zwątpień tych wierszy z „Księgi Lwa”, w których pobrzmiwają pogłosy niegdysiejszych ciągów spirytualnych Antonycza, wyrażonych w cyklu nieopublikowanych przez poetę wierszy religijnych „Wielka harmonia”.

Odkrycie wieczności tkwiącej w przeobrażeniach materii, której częścią jest człowiek poddany cyklom narodzin, życia i śmierci, będzie poeta pogłębiał i poszerzał w „Szarym hymnie”, gdzie powie, że

...ludzie, mury i bakterie
są tym samym poddane prawom.

Tę myśl powtórzy w „Zapomnianej ziemi”:

Gdzie na barłogach burych legły
zwierzęta, ludzie i komety.

Cykliczność przyrody pchnie poetę do odgrzebywania korzeni starych cywilizacji. Stąd zainteresowanie kulturą Rusi Kijowskiej, źródłami aryjskimi w kulturze europejskiej, sanskrytem, stąd zgłębianie pozostałości pogańskich mitów w folklorze i mentalności Łemków. W poezji Antonycza występują równoległe tendencje sięgania do świata poetyckiego, zanurzonego w roślinnej i zwierzęcej kosmogonii, oraz do historii rodzimej ziemi łemkowskiej, Ukrainy, z przewagą jednakże poznania praw przyrody.

Przechodzenie pierwiastka świadomości w element nieświadomości, świata ludzkiego w świat zwierzęcy odbywa się, jak to wykazał Dmytro Pawłyczko w przedmowie do kijowskiego wydania poezji Antonycza, wedle praw poznania i aktywnej działalności człowieka przekształcającego się w roślinę czy w zwierzę.

Stan pogańskiego oczarowania światem przyrody powoduje bezbolesne przeistoczenie i metamorfozę człowieka w roślinę. Jest to szczególnie widoczne w tomie „Zielona ewangelia”, gdzie można czasem znaleźć zasady buddyjskiej reinkarnacji, jak to widać w wierszu „Dom za gwiazdą”. Po przejściu wielu stopni przeistoczeń w formach roślinnych i zwierzęcych dusza ludzka przekształca się w gwiazdę z jakiejś oddalonej konstelacji czy galaktyki.

Pogański sensualizm, nasłoneczniona wizualność poezji odzwierciedlającej urodę łemkowskich krajobrazów, piękno świata przyrody ustępuje stopniowo miejsca w „Zielonej ewangelii” rozważaniom filozoficznym z pogranicza sennych wizji i konstrukcji właściwych surrealistom. Bóg, który tak różne przybierał kształty w tomach wcześniejszych, przekształca się w „Zielonej ewangelii” z mistycznej abstrakcji w emanację sił życia, z siły nadprzyrodzonej w zjawisko żywej przyrody. Poecie wyrwie się raz jeszcze wyznanie, że „biosu prawa są dla

wszystkich jednakowe" w wierszu „Do istot z gwiazdy zielonej", gdzie czytamy:

Lwy, lisy, jaskółki i ludzie,
zielonej gwiazdy robaki i liście,
materii prawom niezmiennym poddane,
jak niebo ponad nami iskrzy się srebrzyście!

Rozumiem was, zwierzęta, rośliny nieznane,
i słyszę, jak komety pędzą, jak kiełkuje trawa.
Antonycz też jest zwierzę smutne, kędzierzawe.

Ciekawe, że w notatkach i w brulionach Antonycza napotykamy na sporo interesujących na wpół wierszy, na wpół aforyzmów w rodzaju: „Siostra Antonycza — lisica", „Jam wszak nie człowiek, jam roślina, a czasem jestem małym liskiem", „Żyję, cierpię i umrę, jak wszystkie zwierzęta", „A ryby z morza modlą się do ryb z zodiaku", „A słowik — gwiazdy brat — o śmierci siostry wypiewuje".

Zaskakujące, że sprawę miejsca człowieka w przyrodzie umiał poeta połączyć ze świadomością swojego miejsca w tradycji literackiej. W wierszu „Wiśnie" czytamy bowiem:

*Antonycz chrabąszczem był, na wiśniach kiedyś mieszkał,
tych wiśniach, które w wierszach Szewczenko opiewał.*

Równocześnie Antonycz potrafił kunsztownie zespolic problemy filozoficzne z problemem miłości, dostrzegając paralelizm między wzlotem miłości i narastaniem potęgi przyrody, jak to widać w „Ośmiu strofach ekstazy" czy w „Epickim wieczorze". Potrafił też obok wykorzystywania obrazów wizualnych i fonicznych, połączonych w ba-

rokowych niemal splotach i ciężkawych scenach, operować lakonicznymi i nadzwyczaj celnymi obrazkami — skrótami ujętymi w dwóch—trzech czterowierszowych zwrotkach, zawierających nieraz, jak na przykład „Jaworowa opowieść” skondensowany wątek dramatyczny.

Można by przypuścić, że osiągnąwszy pewien szczyt maestrii poetyckiej w „Zielonej ewangelii”, finalizującej wątki i motywy obecne w tomach poprzednich, Antonycz spróbował pójść inną niż dotychczas drogą: od fee-rii i akceptacji świata wizualnego do jego zaprzeczenia i potępienia, od onirycznego, symbolicznego romantyzmu do mrocznego ekspresjonizmu. Ostatni, szczupły zresztą i chyba nie zakończony tom „Obroty” zdaje się wskazywać na nową perspektywę poezji Antonycza, przerwana jego niespodziewanym a przedwczesnym zgonem i w pełni nie ujawniona.

Od muzyczności i świetlistości poprzednich tomów, spośród których „Zielona ewangelia” zbliżała się w swoim synkretyzmie do „Słonecznych klarnetów” Tyczyny, poeta przeszedł do drastycznych obrazów miasta i jego mieszkańców, do apokaliptycznych nieomal wizji kamiennej metropolii, uwiecznionej w plastycznych, ale czasem odpychających portretach, scenach i szkicach przypominających niektóre wiersze z „Sokratesa tańczącego” Tuwima czy „Pieśni fanatyczne” Wierzyńskiego. Urbanistyczna liryka, chimerycznie wieńcząca dorobek Antonycza, była jeszcze jednym wkładem do stworzenia nowożytnej poezji ukraińskiej, w której siedł własną, przez nikogo nie przetartą drogą.

Polacy mają szczególnie dużo powodów, aby poznać twórczość poety, który żył między nami, lecz za swego życia interesował tylko małą garstkę polskich czytelników, umiających wznieść się ponad przesady narodowe, ponad skostnienie tradycji nie pozwalającej dostrzegać

wśród ościennych kultur rzeczy autentycznych, urzekających. Antonycz, urodzony przecież w Polsce i wychowany na literaturze polskiej, którą znał i śledził bacznie na równi z literaturą rodzimą i zachodnioeuropejską, szczególnie angielską i francuską, był jednym z tych „kalinowych mostów” nad domniemanymi przepaściami kultur, które umożliwiały wzajemne poznawanie się

Publikacje wierszy Antonycza na łamach „Sygnałów”, „Wiadomości Literackich”, „Skamandra”, „Chwili” świadczyło o zainteresowaniu twórczością jedyne go na Ukrainie imażynisty.

Przyjaźń tego nieprzeciętnego Łemka, który wycisnął piętno na poezji ukraińskiej, z Tadeuszem Hollendrem i współpraca z nim nad przygotowaniem antologii współczesnej poezji ukraińskiej przeznaczonej dla Polaków nabiera wymowy symbolu. W gazecie „Chwila” z 13 listopada 1937 roku Hollender tak wspominał Antonycza: „Kiedy z nim obcowałem, nie odnosiłem nigdy wrażenia jakiejś obcości, którą okazują często Ukraińcy Polakom. Zdawało mi się zawsze, że w tych naszych rozmowach porozumiewamy się obaj przede wszystkim jako ludzie i Europejczycy ponad głowami naszych zacierzewanionych, nienawidzących się współbraci. Jak wszyscy ludzie nieprzeciętni, Antonycz był przede wszystkim dobrym człowiekiem i poetą, a potem dopiero Ukraińcem.”

Te słowa przyświecają prezentacji poety zakochanego w urokach swojej „ziemi jałowca i owsa”, buków i dębów, zauroczonego kosmosem, pralatem, pralasem i mikroświatem ludzkiego serca. Te słowa skłaniają do pokazania czytelnikowi polskiemu poety tworzącego w zapamiętaniu obrazy swojego, jakże z pozoru dalekiego od realnej rzeczywistości, świata, lecz wszelako nie zapominającego o społecznych realiach rzeczywistości wstrząsanej kolejnymi awanturami faszystów, co znalazło od-

bicie w „Słowie o czarnym pułku” oraz w wielu wyrazistych dygresjach i aluzjach od elegii „Trzy pierścienie” do „Obrotów”. Najbardziej ważkim argumentem prezentacji poezji Bohdana Ihora Antonycza była jej oryginalność i poruszająca wyobraźnię świeżość.

Florian Nieuważny

Z TOMU
«PRZYWITANIE WIOSNY»
1931

PRELUDIUM

Przeżywasz czasem takie dziwne chwile,
skąd i dlaczego, tego nie wiesz sam,
przychodzą, stają u zamkniętych bram
za dnia lub w nocy najmroczniejszej sile.

I w dal spoglądasz w niezmierzone mile,
porzucasz spraw przyziemnych tani kram,
wciągając w płuca szczęścia dech, ten sam,
który straciłeś w codzienności pyle.

Górą, doliną wytyczone drogi,
pofalowana tafla morskich grzyw —
tędy przebiega życia szlak ubogi.

I choćbyś upadł, tę nadzieję żyw,
kiedy porażek ćwiczą cię batogi:
do zwycięstw wiedzy i chybiony zryw.

Stanisław Ulicki

STARE WINO

W chłodnym, gęstym półmroku przestronnego lochu
ze ścian skapuje cisza, kroplami osiada,
to znowu winne grono upojeniem gada.
Rzędy flaszek omszałych tłoczą się w popłochu.

I w łukowe sklepienie, niby w ziemię sochą,
czas-fechmistrz wbija szarą pleśń — kosmatą szpadę.
Flasze nabrzmiałe winem, ściśnięte w gromadę
potrzaskują jak strączki dojrzałego grochu.

Wino w piasek wylane wsiąknie, czerwień róży
zblednie mchu zielonością przed słońcem zamkniętą.
I my częstokroć z długiej wróciwszy podróży,

do światła prawdy dążąc, rozkruszamy ściany.
Pragnąc wiecznej ciemności porozrywać pęta,
jak wino kosztujemy trawy łąk nieznanych.

Krzysztof Rozner

STOGI

I zanosło się szeptanie ku łąkom:
na widnokrąg jak na szale wagi
kładał w brzuchate stogi ktoś półnagi
kłosy nabrzmiałe śnieżnobiałą mąką.

I w krąg szumiało: „Zerwijcie się, kłosy!”
Tak huczały tęgie kłosy w zbożu,
bo wiatr już dłonie w czupryny włożył
i począł targać dumnym stertom włosy.

Czyż nie lepiej niż zatęchnąć w młynie,
niż ginąć pod żarnami — rzeką,
by wiatr je sypał po dolinie,

niechby wraz przeszły z krucjatą jesieni.
O, ten kto nie wie, chciałby daleko
spod ciężkich uciec dni, młyńskich kamieni.

Barbara Dohnalik

BOCIANY

Nad morza tonią leciały raz bociany
ku brzegom lądów południowych,
cyprysom, gajom oliwkowym,
uśmiechał im się i wabił ląd nieznany.

Poczuły raptem, że los je czeka straszny,
bo skrzydła zmęczyły się nagle.
...Lecz w dali las wyrasta żagli;
szczęśliwe, szybko obsiadły smreki masztów.

Lecz krótko klekot trwał radosny —
okręty płyną ku północy,
gdzie z brzegów grożą skały ostre.

Los w złą prowadzi nieraz stronę:
dostrzega oko zrozpaczone,
że ster ujmują cudze dłonie.

Wojciech Paszkowicz

C O D A

Szumi żałośnie życia płowe żyto,
kłosy zasnęła chmura niepogody.
Kładzie do ziemi wicher ciężkie płody,
jak żyć, gdy ziarna marzeń się pozbyto.

Przesiewa niebo, jak ogromne sito,
pszenicę dążeń przez gwiazdne niewody.
Zmagania, niby perzu korowody
wzięły w objęcia planety koryto.

Śnieżne zamiecie ciągle wieją w oczy,
na drodze jednej nie odnajdziesz róży,
bo trakt nie mija niedostępnych zboczy.

Błogosławiony szlak twój pośród burzy!
Ciesz się, że żyjesz, nim cię kres omroczy,
choć padasz — wstajesz, nie kończąc podróży.

Stanisław Ulicki

PIEŚŃ ZAWODNIKÓW

Słońce kochamy i sport,
naszą pieśń układamy z majorowych gam,
odganiamy od siebie wygodnictwa chłam.
Zmęczenia omijając port,
łódź nasza płynie.

Gimnastyczny krok
dudni po bieżni, dźwięki odbite od ramp
werblami wystukują nasz żelazny jamb.
Rozświecła się wzrok.

Kochamy: zawodów trud,
szlak pod górę, dal, rozmach i spojrzenie wprost,
uśmiech, przestrzeń szeroką i promienia most,
i biegu czasu skrót.

Dzwon
naszych serc towarzyszy nam w pracy,
słońca żar wypalił w brązie nasze ciała.
Jakiż to jeszcze rekord nadzieja nam dała,
żeby światu w nowy uderzyć
ton.

Już oszczep świszczę w rękach,
tkliwie pieścimy dysk,
wiatr zdziwiony przyklęka
widząc młota błysk.
Spreżyście uderza piłka.

Nie znamy niepowodzeń —
lecz:
rozkosz ryzyka nam bliska
jak bliska radość zwycięstwa.
Mocarnych ramion przęśla
potrafią unieść świat.
Silni niczym atlasi,
jak sokoły śmiali,
mięśnie mamy ze stali.

Przybrani
w zieleni wiecznej wiosny,
marszem nóg, wymachem rąk —
herkulesi, spiżowe sosny,
słoneczny pozdrawiamy krąg!

Barbara Dohnalik

SKOK O TYCZKĘ

Już gra powietrze w płucach,
wibruje muzyka kroplami potu.
W górę unosi tyczkę —
jak żuraw dziób
przed rozpoczęciem lotu.

Nogi spychają ziemię,
zaczyna kamienieć wartki myśli tok.
Na wylot przebity wiatr —
już galopu ekstaza
i wreszcie skok.

Przepchnął się przez powietrze,
spada tyczka, przebija ziemi skórę,
Łopoczą ręce i nogi —
po promieniach słońca
wznoszą się w górę!

Z lekkością zagła łopocze
ciała ciężkie, ołowiane brzemię...
I nagle krzykiem tłumy
zepchnięte
powoli opada na ziemię.

Barbara Dohnalik

DZIEWCZYNA Z DYSKIEM

Patrzę z podziwem, myśl za myślą goni —
nie mogę krzyknąć, oddychać mi trudno,
gdy widzę ciebie młodą, jasną, dumną.
Stoisz zastygła, twój cień świat przesłonił —
jesteś jak Diana — księżyc trzymasz w dłoni

Jak lekko ruch twój powietrze potrąca,
ręka w zawody rusza z ptasim snem.
Na nic nie patrzę, przecież wszystko wiem...
Już płyną z trybun okrzyki bez końca —
nie dysk — to leci me serce do słońca.

Barbara Dohnalik

I D E A Ł

W błękanie bezkresnego oceanu,
gdzie nigdy nie spoczęło ludzkie oko,
wysoko aż do chmur, we mgle głęboko,
jawi się wyspa pośród fal peanu.

Na wyspie tej, jak głoszą opowieści,
skarby w ciemnościach zostały zakłute.
Tu ludzkie oczy gorzej zawzięte,
tu się kolebka chciwej żądzы mieści.

Szaleje wichry, żagle wzdyma burza,
w zmętniałym niebie czółno maszty nurza,
sól spustoszenia na okręcie czyni.

Wtem pęka kadłub na podwodnej skale,
giną szczęśliwi — bo w poznania szale.
Na wyspie piasek pozostał pustyni.

Stanisław Ulicki

ALCHEMIA

W celi, w oparach siarki, dnie i noce,
pożółkły mag, jak siarka zasuszony,
w retorcie topi wzrok roznamiętniony.
Czerwony bies z otworu jej rechoce.

Nad salką klosz, ułuda, mara złota,
ten opar zamglił wszystko pod tym dachem.
W gorączce drżą zbielełe wargi strachem,
„apage” chcą „satanas” wybełkotać.

Wykrzyknął mag jak błędny, niespodzianie,
nie wierząc oczom: złoto lśni w retorcie.
Pod strop bryznęło chichotanie czorcie.

I hufce mnichów z lękiem się rozprysły,
szepłano wkoło: przed koguta paniem
o. Patrycjusz tu postradał zmysły.

Stanisław Ulicki

PSZCZOŁA

Lipcowy lukier lasów lipinowych
lśni blaskiem laku, lepki, w białym dzbanku.
Tu się wtopiły gwiazdy o poranku,
wonności lewad, kobierców kwiatowych.

Nad tym jeziorem pachnącym, złocistym
przelatująca pobrzękuje pszczoła.
Na fałdach jego zmarszczonego czoła
jej cień się ściele, niby prążek mglisty.

Jak kwiat rozwija, słodyczą opita,
płatki skrzydełek, lecz dłońmi lepkimi
ciecz małe nóżki niespodzianie chwyta.

I choć skrzydełka trzęsą się w pokorze,
miód się jak usta zamyka nad nimi.
Tak własne szczęście czasem zabić może.

Stanisław Ulicki

„I”

I wiatr, który do ziemi żrzące zboża kłoni,
i deszczu ruda mgła, która na runo ćmi,
i złoty uśmiech gwiazd na tle błękitnych dni,
i stodół śpiew pszeniczny w polnych kwiatów woni.

I winne grona winnic, i głębina toni,
i sad, gdzie późną nocą tryl słowiczy brzmi,
i dźwięki jego dźwięczne niby fonem „i”,
i maj, i gaj, i ruczaj, i kraj jak na dłoni.

I sen w błękicie śniony, i sień leśnych cieni,
i klechdy stron rodzinnych, i półmrok kaleki,
i tętent końskich kopyt w stepowej zieleni,
i zbocza, i roztocza, i wiatry płomieni,
i nocy, dni przeżytych dziwny blask daleki,
i będzie ci najbliższy, gdy zamkniesz powieki.

Stanisław Ulicki

PIERWSZY ŚNIEG

Po polu złotym wozem przejechała jesień.
Strzępiastym, srebrnym dymem schodzi mgła znad
wzniesień.

Słońce z batem promienia — woźnica ognisty
Biały obłok pogania nieba traktem czystym.

Na kądzieli pagórków siwa pajęczyna.
Podparta ręką góry dali przestrzeń sina.

Wiatr liść żółty zmiótł z drzewa w swym tańcu pijanym.
Gałęzie w zagajniku grają psalm miedziany.

Przyszłej zamieci gońce — spadły kwiaty białe.
Tak wieczność po raz pierwszy ziemię całowała.

Krzysztof Rozner

AUTOBIOGRAFIA

W górach, gdzie bliżej słońca, spojrzałem na nieba
i nagle coś dziwnego zbudziło się we mnie od tej pustkowie
przestrzeni,
i głowa się podniosła, i słowa podeszły do ust zieleni.
Teraz gdziekolwiek bym był i był kiedykolwiek,
zawszem — pijany dzieciak ze słońcem w kieszeni.

A kiedy z gór zeszedłem do gwaru miast niezdrowych,
w niepowodzeniach, w biedzie nie kłąłem doli anim jej
nie ganił,
patrzyłem się spokojnie na fal złowrogich huragany.
Moje pieśni — nad rzeką czasu most kalinowy,
jam zakochany w życiu poganin.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Z TOMU
«TRZY PIERŚCIENIE»
1934

AUTOPORTRET

Motto:

Zawszem — pijany dzieciak ze słońcem w kieszeni.
Jam zakochany w życiu poganin...

Z tomu Przywitanie życia

W czerwonych klonach, w srebrnych klonach
wiosną i wiatrem kipi stale.
O, doczesności niezgłębiona,
jakże twym pięknem nie oszaleć?

Ja, słońcu życie zaprzedawszy
za sto dukatów dni obłądu,
poganin, zachwycony zawsze,
poeta chmielu, wiosny, pędu.

Tadeusz Hollender

TRZY PIERŚCIENIE

Skrzydlate skrzypce tkwią na ścianie,
czerwony dzban, kwiecista skrzynia.
Śpi twórczy ogień w skrzypiec graniu,
muzyczna rosa srebrnosina.

W skrzyni nasienie pieśni śpi,
upojne ziele, воск, nasienie,
na samym dnie tkwią gwiazdy trzy,
kamienie jasne trzech pierścieni.

Ze dzbana miętą pachnie trunek,
krople — jaworu łyż zielone.
Skrzydłata zadźwięcz, moja struno,
miłości, wiośnie graj szalonej.

Unosi się już w górę dach,
wiruje dzban i śpiewa skrzynia.
I słońce jak ognisty ptak,
o płot oparte pieśń zaczyna.

Bazyli Nazaruk

ELEGIA O ŚPIEWAJĄCYCH DRZWIACH

(Fragment)

Dom pochylony, siwy jawor,
próg niski, śpiewające drzwi.
Tak pozostały snem i jawą
zakątki mych dziecięcych dni,
tak przechowała chłopca pamięć
rodzinne strony, cichą wieś,
zatarty dawno obraz w ramie
pieśni dalekiej. A ta pieśń
wzruszeniem dziwnym wciąż faluje
bez łez i bez zbytecznych słów
pejzaże wspomnień koloruje.
I chciałbym tylko przeżyć znów
chłopięce dni, radości, burze.
Krew wre wciąż w żyłach. W chwili tej
oczy radości błysk rozchmurzył
i pióro w dłoni trzymać lżej.

Szarzeją kędzierzawe trawy,
tam kamień kraje rzeczny nurt.
Smolista noc i dzień smagławy
podobny do cygańskich cór.
Ze śmiechem pędzą z gór potoki,
jak kochankowie śmiali prą,
do dolin schodzą się głębokich,

co w siwym mroku cicho śpią,
i kurzy się od kwiatów zapach
jak w różnobarwnych fajek dym.
Skarżą się jodły w wiatru łapach
szepem wylekłym — smutno im.
Na dół spływają krople szumu,
jakby z gorących smoła pni.
Spowity w zieleń i zadumę
jeleń u źródła wodę pił.
Kwieciste słońce śpi w krynicy
na wyścielonym mchami dnie,
— płonącym krzewom tajemnicy
z głębiny rankiem wzniesie się.
Puszcza nam śpiewa snem kudłatym,
praw dawny szum zahuczał gdzieś.
Na skłonie gór jak ciemna łąta —
do lasów przyczepiona wieś.

Karczma jak krzew od gwiazd goreje,
świeczkami płoszy nocny lęk,
z gorzałki jasne dymy wieją,
drży zardzewiały klucz brzęk.
Smyczkiem ognistym tną Cyganie,
szeroko dudni mroczny bas.
Muzyka pali, a głos rani,
pijane struny gonią czas,
na flecie z muzycznego drzewa
palce dziwaczny wiodą tan,
dziki, gorący krzyk wylewa
bęben jak przechylony dzban.
A skrzypce bledną, wędną cicho
i sercem bębna tłucze lichy,
i o opryszkach setny raz
opowieść mruczy groźny bas:

święcone kule, stara broń,
tajemne ziele, mściwa dłoń,
zaklęta noc i życia kres
w napojach, które warzy bies.
Mistyczny księżyc pieśń szaloną
ciemnościom niesie, światło strun.
Dziewczyna śmigła jak wrzecziono
uniosła w tańcu spódnic szum.

Pamiętam jeszcze: wody drżą,
bo bystre iskry ranek sieje.
Pamiętam jeszcze: stary dom
o ścianach z marzeń wciąż bieleje.
Pamiętam jeszcze: w słońcu most
tak rudy grzbiet leniwie grzeje,
jak wyciągnięty, senny, duży
kot, który ze snu oczy mruży.
I dom i most podobno stoją,
ale minęły tak jak dni
tego, co tylko w myślach swoich
powraca do rodzinnej wsi.
Zgłodniały kruk nad mostem krakał,
płynęło rzeką słońce w świat.
Tędy chodziłem łowić raki,
a miałem wtedy ze sześć lat.
Palce kłuł ostry żwir, kamienie,
ustami ssałem słodką krew.
Ku gwiazdom chłopca zapatrzenie —
nie znalazł swojej pośród drzew.

Jerzy Pleśniarowicz

ELEGIA O KLUCZACH DO MIŁOWANIA

1

Zielony liść, skrzydlaty klucz,
znów na wrzecionie nitkę snuć,
i znów upija i odurza
młodości nieprzytomna burza.
Kochać i szaleć — cóż za szczęście
z żaru i mrozu się uplecie!
Na placu elegijny pierścień,
na sercu elegijny kwiecień.

Miasteczko w księżycowej bieli.
Zali się nie przypomniał druhy?
Rośliśmy razem i durnieli,
wietrzne kochaliśmy dziewczuchy.
Niepokój ukrywając słodki
graliśmy dumnych i roztropnych
i rwaliśmy się za opłatki
w dal, która słała się pod stopy.
W młodości zda się cały świat
skrzynią, w której schowano skarby,
i to marzenie — nocny kwiat —
ciągnęło, gdzie urwiska skraj
przyzywał jak miłosne skargi.
Szczzerbiła się na nożach stal,
w porywach się spalało serce,

księżyc ukwiecał domy nocą
i miłowaliśmy dygocąc,
i wstydząc się miłości wielce.
Zaczęło się — od tulipana,
co nasłonecznił wnętrze snu,
a wiosna rozmuzykowana
na fortepianach grała stu,
smyczki w kabłąki wyginała
i wrzecionami furkotała,
stem skrzypiec nawiedzała w snach,
w krynicach pić dawała miodnych,
kwiaściasty rozścielała chodnik,
rozsypywała pieśni w piach.

Wspomnisz gorący wiosny szept:
podobna zdała się dziewczęciu,
a tyżeś na spotkanie szedł,
naprzeciw nieznanemu szczęściu.
Pamiętasz, jak cygański wiatr
kradł pocałunki rówieśnikom,
sześć liter — MIŁOŚĆ, cały świat
na sercu twym kozikiem wyciął.

Poznaliśmy się. Wiosna z nagłą
zatrzepotała rojem strzał.
Kochała i z kochania słabła
dziewczyna, w której ogień wrzał.

U listonosza wieść zielona,
szumiały liście. Ejże, młodzi!
Tak to wysnuła się z wrzeciona
pieśń o młodości, co uchodzi.

Płakała okaryna w nocy,
 kowale basem grzmieli znów,
 chłopak nieśmiały i pragnący
 kochania nie znajdował słów.

Śpiewali rankiem biali cieśle,
 wirował dom jak czółno tkackie,
 chłopiec kochania mapę kreślił,
 wiosennych kręgów w niej dwanaście.

I w nagle odmienionym świecie
 wszystko się stało śpiewem niby,
 księżyc się wsparł na parapecie,
 jak wielka kropla spływał z szyby.
 Słuchając głosu, co cię nęci,
 i w roześmiane patrząc oczy
 rzeźbiłeś sobie twarz w pamięci,
 ażeby w pieśń ją przeistoczyć.
 Kochałeś i zdradzałeś czasem
 niezdolny pieśni swej oszukać,
 jej tylko wierny — ciemnym lasem
 błądziłeś, żeby słów jej szukać.

I połączone jak dłoń w dłoni
 twe życie z pieśnią się przeplotło,
 natchnienia zryw i radość po nim —
 dokądże słowo mnie zawiodło?
 Niesyte serce poznawało
 miłości i rozpaczy smak,
 ustom łakomym wciąż za mało
 palących pocałunków. Tak
 gorzało, drżało, snem się przędło,

jak echo z echem snuło więź,
aż przepaliło się i zwiędło,
przeobraziło w bólu pieśń.

Jak garncarz strof, co dzbany lepi
nadając śpiewnej glinie ład
i własny czyniąc płacz i śmiech
lirycznym handlem i rzemiosłem,
niepocieszonym sercem zgadł,
że nie masz pośród rzeczy wszech
cenniejszej

od miłości ślepej
i sztuki chmurnej wraz
i wzniosłej.

Śpiewali rankiem biali cieśle,
śmiali się przy wrzecionach tkacze,
niczym płomienne kręgi kreślił
chłopiec wiosennych strof dwanaście.

Zielone listy niósł listonosz,
szumiały liście. Ejże, młodzi!
Tak to uplotło mi wrzeciono
pieśń o młodości, co uchodzi.

Śpiewają klucze miłowania,
o krąg czerwony krąg podzwania,
i rozpłomienia, i odurza
młodości nieprzytomna burza.

Jerzy Litwiniuk

ELEGIA O PIERŚCIENIU MŁODOŚCI

Niby karty ściany się roztworzą
i do góry popłynie pułap,
gasną okna w modrym przestworzu,
mgła przedmioty bliskie osnuła
i w część snu przeobraził się każdy:
już nie pułap nade mną, lecz głębia,
ze ścianami dal się zazębia
i jak iskry wśród ciszy śniącej
niedosiężne w dali kuszące
i mieniające się z brzękiem, i drżące
zajaśniały nad stołem gwiazdy.

A tu ja, nieugięty pod niebem,
które cięży niż kamień bardziej,
o to, że dziś nie zasnę, nie dbam
i spokojnie kreślę na karcie
chłodną dłońią
te właśnie słowa.

Rzeka jak młyn miele marzenia,
od jej szumu i od odurzenia
nocnym chmielem kołuje głowa.
Oto tajemniczeje przyroda
w swej bezbożnie pierwotnej krasie,

(której słowem nie odda nikt).
Jakże straszna tej ziemi uroda,
która moje otruła dni.

Żyłem sobie beztrosko zda się
i utarty gościniec mnie wiódł,
aż znienacka ogarnął mnie głód
czegoś niewiadomego.

Ale inny dziś bije takt
i zawilej gna życia wir,
niby czarnej chorągwi kir
każda noc ponad sercem łopoce,
a miesiąca miedziany ptak;
co jest różą i lampą tajemną
dla wróżbitów i dla poetów
srebrną nitką prowadzi mnie w snach
po manowcach marzeń i obłędu,
ponad świata otchłanią ciemną.
Jak rtęć piętrzy się błogi strach,
aż z dygotem nerwowych strun
mózg i gardło ogarnie pożar.
Wtedy dzwoni pieśń ciosem noża
i odzywa się echem łun.

Lecz powiedz sam,
dlaczego chcesz
zamarzać
w piękna miesięcznych promieniach?
Już lepiej strzeż
młodości swej pierścienia,
czasów,
gdy świat jak serce był szeroki,
gdym ani dbał, co mi się w nocy śni,

gdym jako chłopak szarooki
śmiał się serdecznie i otwarcie
i niezmacone pędził dni.
Tak czas otwiera
życiorys mój na nowej karcie.

To jedno teraz wiem,
że pieśń
jak cień mi towarzyszy,
i że ją niestrudzenie muszę nieść
naprzeciw martwej ciszy,
za wiatrem, za wołaniem nocy,
aż popiół snu zasypie oczy,
aż serce pod skrzydlatym klonem
zapadnie w morze traw zielone
i tylko pieśń wolna, dojrzała,
niepowstrzymana, dumna, śmiała
beze mnie dalej będzie iść.

Jerzy Litwiniuk

NA SPOTKANIE

Chłopczyna rośnie niby krzak maliny,
wydzwania `podkówkami trakt.
Jaskółki w księgach jaskółczyńch
początek zapisują dnia.

Zaprzęgnę słońce do telegi,
wyjadę witać wiosny świt.
Skrzydlatym, rozwichrzonym śniegiem
śpiewają w kwietniu młode dni.

Olga Petyk

K A R C Z M A

O dziewcząt i o kupców krwi
opowiadają dawne dzieje.
Wciąż w innej ręce czarka tkwi
i chmiel, i żądza ogromnieje.

Dukaty dzwonią głośno w stół
i księżyc — najchmielniejszy kielich.
Noc się schyliła nisko w dół
i srebrną siejbą rzekę ściele.

Kazimierz Andrzej Jaworski

NA TRAKCIE

Wiatrami opleciony ranek
jak Cyganiątko skoczy z fal,
na piasku krzyczy jak pijany
rozgrzany słońcem młody szal.

Rzeczulka—zmija z dnem, co dźwięczy,
bicząc wiatry ziemi kłosz,
a dzień w urwisku skrywa księżyc
niby w kieszeni stary grosz.

Leszczynę śpiewnie dziobią kósy,
podzwania miedzią przestwór-trakt.
Z uśmiechem idzie chłopiec bosy,
na plecach — słońca złoty ptak.

Olga Petyk

PEJZAŻ Z OKNA

Patrz — dzień błękitny trawy burzy,
rozklebia zbóż zieloną zamieć,
Warzy w pękatych dzbanach róże,
aż pienia się dojrzałym łanem.

Deszcz cynobrowych kropli palbą
stalowołśniące szyby skropił...
Horyzont drga i nieci salwy,
w kurzawie dymu się roztopił.

Zaledwie oczy znad lektury
w barwne pejzaże świtu wzniesiesz,
dumka ukradkiem wyrwie w górę,
i ćmą, o szybę tłucząc, wzleci.

Waldemar Gajewski

CZARKI

Zielony jesion, sierp i konie.
do szyb okiennych chłopiec przyłgnął.
W czarkach srebrzystych i czerwonych
mieni się wiosny złote wino.

Pragnienie — radość chłopcu mąci —
klucza wiosennych wrót mu trzeba.
Z traw raptem skoczy w górę słońce
jak wypłoszony młody źrebak.

Waldemar Gajewsk.

KSIĄŻĘ

Jeszcze góra śnieżny kurz dźwiga,
a siedem strzał jak siedem pieśni,
i chłopca wita dzień bezkresny
uskrzydłym imieniem: Igor.

Płoną skrzypce w weselnej bramie,
barwny dnia sztandar w niebo zdąża.
Idę w szaleństwie, w rozkochaniu
ja — wiosny rozśpiewanej książę.

Florian Nieuważny

WIEŚ

Tu krowy modlą się do słońca,
co płomienistym wschodzi makiem.
Topola wzrasta smuklejąca,
jak gdyby zostać miała ptakiem.

Od wozu księżyc wyprzegają.
Szeroka zgrzebna płachta nieba.
Dał rozpostarta na rozstajach
I w siwym dymie lasu grzebień.

Z gór jaworowe liście płyną.
Kądział i kogut, i kołyska.
Dzień się przelewa do doliny
jak mleko do glinianej miski.

Jerzy Pleśniarowicz

BOŻE NARODZENIE

Narodził się Bóg na saniach
W Dukli, karpackim zakątku.
Przyszli Łemkowie w krysaniach,
miesiąc przynieśli Dzieciątku.

Od gór śniegi wichher goni,
mrokiem strzechy noc spowija.
Ma z ikony twarz Maryja,
miesiąc — złoty orzech w dłoni.

Jerzy Pleśniarowicz

KOLĘDA

Ciosa cieśla srebrne sanie,
drogę śniegi ścielą płozom.
Na tych saniach w dal nieznaną
Dziecię Boże dziś powiozą.

Ciosa cieśla srebrne sanie,
ze snów wiosna się wyłania.
Na tych saniach Jasna Pani,
oczy takie ma jak łania.

Chodzi słońce w swej krysaní,
słowiańskie usnęło Dziecię.
Jadą sanie, płacze Pani,
ściele się śniegami życie.

Jerzy Pleśniarowicz

ZIELONA EWANGELIA

Wiosna podobna karuzeli,
na karuzeli białe konie.
Górska wieś w sadach — w krąg morele
i księżyc jak tulipan płonie.

Oto na stole jesionowym
słowiański dzban ze słońcem stoi.
Tylko przed ziemią pochyl głowę,
jak sen stubarwną ziemią twoją.

Jerzy Pleśniarowicz

PRALATO

I

Wpływamy w las, w sosnowe morze,
w sosnowy szum, sosnowy śpiew.
Nad nami niebo, płoną zorze,
nad nami dach wysmukłych drzew,
nad nami sączą woń głęboko,
parując, oleiste pnie.

I czujesz, jak pod twoim krokiem
wybucha ziół pachnący wiew.

Cóż tu do pragnień więcej dodać? —
Snu miękkim mchem okutać skroń,
wejść w prapierwotny mrok przyrody,
w pradawną cicho upaść toń.

Niech, niby w sosnach, w naszym ciele
gęstej żywicy kipi kadź.
Niech w nasze żyły mdlącą zieleń
płomień i błękit zechcą wlać.

Florian Nieuważny

PRALATO

II

Wrośniemy w ziemię, sosny ręce
(łopoce leśny sztandar drzew).
w żyły pieniście nam się wsączy
roślinny sok — zielona krew.

Wgryzą się nóg korzenie w glinę,
dłonie otoczy liści chłód...
A pszczoły nam ku oczom spłyną
i będą pić, jak z kwiatów, miód.

Nie krew — już olej ciężki chluśnie,
nabrzękły w twardych jądrach sok,
w malinach słodkich błogo uśnie
upajających godzin tok.

Szkarłatnym krzakiem w pobok drogi
W szum ciszy wrośniesz, w glinę, w piach...
A jeleń — samiec smukłonogi
dopadnie płochą sarnę w krzaczach...

Tadeusz Hollender

L A S

Naucz się tutaj leśnej mowy
z księgi dla sarniąt i dla lisów.
Księżyc podąża do dąbrowy,
żeby na pniach elegie pisać.

Strumyki płoszą srebro ciszy,
kąpie się trawa w rosie czystej.
Niech w księdze lasu uroczystej
najprostsze słowa noc napisze.

Jerzy Pleśniarowicz

ELEGIA O PIERŚCIENIU NOCY

Sycąc się fluidem niebezpiecznym
zatrutych srebrnogorzkich nocy,
w księżycu się wpatruję świecznik
za szybą, całą w mżeniu chłodnym,
pierzchliwym, pełgającym, modrym
światów, co w ciemność i martwość
ciśnięte nie wiadomo skąd
płoną osamotnione, złote
niczym sanskryckich znaków rząd,
i wieje od nich snem odwiecznym,
gdy poszeptują skądś z dna
zagubionego w mroku dnia
słowa zamierzchłych wróżb pytyjskie,
a zaklinając ziemię, ogień,
oddają snu wszechmocy błogiej
te serca, które zmorzył trud
i dzień był dla nich bojowiskiem,
na oczy spada powiek chłód
i widzą rój błękitnych iskier.
Śpiewają śpiochy-dachołazy
i srebrzyścieją krajobrazy,
zaszumia lasem ściany izby,
zaś księżyc, jak nieboszczyk szklisty,
otworzy siedem nocnych bram

R A N E K

Błysnął ranek, słońce w ceglastym kolorze
po blachach dachów się potoczy.
Marzenia i cienie poranek otworzy
i śpiewką wozów zaterkocze.

Nagle znów przekreśli niebo nieskończone
gwiazd spadających linia krzywa.
Miasto dziwnie białe, prawie urojone,
z mgieł jak z fantastyki wypływa.

Jeszcze jeden kątek cieniem otoczony,
śpią struny skrzypiec, śpią milczące.
W ciszy dźwięczy tylko pióro uskrzydłone,
śmigając lotem strzały rącej.

Helena Kożuszek

Z TOMU
«KSIĘGA LWA»
1936

Z N A K L W A

Zmarłych kwiatów cesarstwo — śpi pustynia
w koszuli krasno-złotej usypiska.
Skarlały oset — diabelska roślina.
Ekstaza słońca i gonitwa błyskań.

Płonące świeczki ponad ziemi trumną,
burzan się zmienia nagle w krzak ognisty.
Zda się, że dłonie gąszcze krzów rozsuna
i obnażą wiry przepaściste.

I widzisz wieczność — niebiosa w opalach,
i szum płonącej czerwieni potoków.
Zza gór gwiazdozbiór Lwa wieczność zapala —
ten znak monarchów, wodzów i proroków.

Przyćmione słońce od ptaków szaroty,
wieńczy je wawrzyn sinej nawałnicy
i piorun, jak na księdze podpis złoty,
trwa na pustyni otwartej stronicy.

W cesarskiej księdze snów autograf gromu
jest zapisany wichrami z Synaju
i brokat wzdartych piaszczystych ogromów
wiankami bożych błyskawic się mai.

Wichrze Synaju, bij w odkryte karty!
Bez ciebie formą jam nie wypełnioną.
Nad wieszczym źródłem trzymaj za dnia wartę,
w noc bądź mi biblią czarną i czerwoną.

Tadeusz Chróścielewski

SZEŚĆ STROF MISTYKI

Noc jak płaszcz osunęła się z bark Chrystusowych,
światło wypływa z niebios przebitego boku.
W górze jątrzy się rana od kolców cierniowych,
w dole stopy dnia kwitną wystające z mroku.

Ziemia jakby zbudzona w stworzenia dniu pierwszym,
wytoczona z chaosu mrocznych gór w zranie.
Darzę nowym imieniem każdy kwiat najmniejszy
i każdy kwiat niebacznie zabijam nazwaniem,

a on jednak odradza się dziesięciokrotnie
i znów się bezimienny spod rosy wymaja.
Słońce — diament muzyki, świetliszcze czcigodne
oczom, co znać chcą wszystko, świat ziemski podwaja.

Podwaja i potraja, i stokroć przemnoży,
aż pojme, żem nie zdolę myśli w locie schwytać
w klatkę słowa. Więc leżę na zielonym łożu
łaknący jabłka słowa, a światła już syty.

Rosa wzbiera hyzopem. Pozłocista plama
i źródło spływa szlachetny w cielesne naczynie.
Pod zdań nurtem dno stałe, twardość niezniszczalna
w ekstazie w dźwięk się zmieni, spod sreber wychynie.

Bo tylko zachwyt może odkryć istność skrytą
i połączyć nas w jedność mistyczną ze światem.
Cichną do krzyża ziemi niebiosą przybite,
stygmat słońca dłoń moją rozpromienia światłem.

Tadeusz Chróścielewski

PŁACZ TARNIN

Ucichło. Nawet listka nie trąci ptak dziki.
Próchno łyska z ciemności niby oko moru,
przewierca chłodnym światłem mroczne mateczniki
jak oko, co dno życia lustruje z uporem.

Kropla krwi z rany nocy — to właśnie kaliny
jagódka, co wśród liści czerwieni się skrycie.
O mój bracie jeleniu, myśmy obaj z gliny,
lecz ty lepiej ode mnie zrozumiałeś życie.

Wiemy: więcej gwiazd w niebie niż ziarenek maku,
węzły życia jak węzły wędrówki ptaszęcej...
Co noc płaczem roślinnym łkają tarnin krzaki,
Iż zmuszono je służyć Chrystusowej męce.

Tadeusz Chróścielewski

TARNINA ŚPIEWA

Druhu mój, laurze, co wieńczysz czoła piewców
o muz cudowny posłańcze z liśćmi jak ostrza stali,
twoja nie znająca śmierci zieloność roślinnoostry
nagrodą za formę dzieła i owoc twórczych szaleństw.

O dębie, kniaziu puszczy, o drzewo dostojne monarsze
w mitrze jesieni, w purpurze liści o pniu chropawym,
który, by w cieniu spoczęli znużeni srogim marszem,
przychyłasz do ust zwycięzców szorstką komunię sławy.

I ty, drzewo oliwne, które nie więdniesz, bogate
w zielone złoto rośniesz jeno same dla siebie,
uczysz z życiem przymierza, uczysz zielonej nadziei,
Noem, co w dali błądzą, szum luby ślesz przez podniebie.

A jednak nie przesławne nad bugajami wielmoże,
lecz ja, tarnina pokorna, pokurcz drzewa przyziemny,
krzew nie lubiany, wżgardzony, tak zwykły i tak
doznałem łaski największej — wieńczyłam czoło Boże.

Tadeusz Chróścielewski

PIEŚŃ O CZARNYM LAURZE

Chleb powszedni natchnienia. O, ty nie zazdrość mi,
drogi!

Ono codzienny wróg, jałowe zmaganie ze słowem
i niechęć do siebie, i noce w napięciu złowrogim,
i bolesna niemożność wyzwolin w rzece odnowy,
powrotu w życie, by w ciszy spożywać chleb postny.
Postaw krzyżyk szczęśliwie na nie spełnionej młodości,
bogatej w zmyłki, na słońce, co świeci twej utracie!
Choć na nauki muz słodkie nie baczy twój przyjaciel,
to kiedy z serca krzyczy, mistrzem jest w każdym słowie,
gdyż szarość słów nie muzyką, lecz własną krwią on poi,
a krew — czerwona muzyka z żył fletni — gra
z tęsknoty...

Ty zaś, wiedziony znawstwem podniosłym i słodkim,
dwoisz
i troisz słowo, a słowo jak kwiat bez treści a barwy
szarej —
obce słowu natchnienie, jak obce wszelkim jest miarom.

Patrz, strumień treści najgłębszych wpada w pieśni
podwoje.

Bezrękie pnie zwaliste śpią cicho na długich cieniach
i księżyc — cesarz czerwony krainy sennych rojeń —

w chmur płaszczu bobrowym szybuje w bezkresach
milczenia.
Opalizuje horyzont perłową światłością wschodu,
a ziemia, mgłą — mgławicą brzemienią, wnet zacznie
rody.

W górę unosi się dźwięk fletni posępnej i głuchej,
na szczyt natchnienia pnie się jak powój na mur
czerwony,
ta niska muzyka ziemi przejmie wszelkie ruchy
i bije w czarny gong nocy, nim powstanie na grani
nicości i wieczności. Kwiaty się kąpią w oleju.
Olej rosy namaszcza łąki i pola. W brzask ranny
Języki Ducha Świętego nad ziemią zagorzeją.

Lecz co w słowie zanika, w jakie pomieścić naczynie?
Strofy dla natchnień to tylko ciemne i ciasne maski.
Odkryj czoło pod czarny laur nocy, bo ten jedynie
uwieńczy twoje porażki.

Tadeusz Chróścielewski

ZARĘCZYN Y

Za tło błękit. W nim szczygły i klarnety.
Schylony jawor nad wodą. Kłus koni
i krągłe słońce złotą bransoletą
wplecione w grzywy spienionych lewkonii.

I w ogniach mech, i wichru okrzyk nagły,
i światła sztorm w lustrzanych wód kryształach —
niczym złamana tęcza, co upadła
na głazy i na pól się rozłamała.

Lewkonii ciepłe szepty. W dali dzbaniec
czerwonego majdanu, gdzie spotkamy
na grzbietach wichrów nowe dni. Kochanie,
nas bransoletą zaręczy brzask ranny.

Tadeusz Chróścielewski

WIOŚNIANA NOC

Nasturcji noc i noc konwalii.
Muzyka szumi w detektorze.
Czekam w ogrodzie — jak noc pali! —
ciebie, daleka Ewo — zorzo!

Caruso nocy — tenor miesiąc
z radiowej skrzynki krzyczy w nicość.
Dla naszych dusz za mało miejsca,
miłości wieczna tajemnico!

Dla naszych serc za mało światła,
za mało ziemi, chmielu, dzbana!
Wiatry poranne jak łopata
zgarniają z drózek noc wiośnianą.

Tadeusz Chróścielewski

R Ó Ż E

Odwleka się róż pora, siostró.
Długo czekali na spóźnioną.
Milami słońca, światła wiorstą
wodę i ziemię rozmierzono.

Choć jeszcze światło nikle zgoła,
choć nazbyt wcześniej i śnieg twardy,
słońca przyskapo, ziemia goła —
już w światłach dnia czar nie zatarty.

Więc dłonie we krwi róż obmywszy,
pod synogarlic jękiem pierwszym
idziemy między buki w ciszy —
zorza przy zorzy, serce z sercem.

Tadeusz Chrościelewski

GOŹDZIKI

Zielony zmierzch. Wiosenne posły
goździki. Mocnom dzisiaj spity!
Jaki świat wielki i podniosły!
I znowu czytam twoje listy.

W górze zielona otchłań światła,
jej jądro — elektryczny goździk.
Że nasza młodość nie wieczysta —
tak, z tym niełatwo się pogodzić.

Lecz kiedyś każde z nas przywyknie...
Cóż, póki trwa ten święty omam —
Zażyłość z życiem nie zaniknie,
co nas, o moja uwielbiona,
namaszcza olejami wiosny.

Tadeusz Chróścielewski

PEONIE

Czerwona młodość tych peonii.
Jakież są piękne, jak upojne!
Przyciśnij dłoń do mojej skroni,
moja wiosniana, złota, broń mnie!

Wciąż goni mnie przez mgieł odmęty —
krok tylko jeszcze, a dopadnie —
mój druh najlepszy, mój zacięty
wróg bezlitosny, Chryste Panie!

Mroczne natchnienie, muzo wieczna!
Noc huczy w cieniach czarnym dzwonem.
Na czarnym tle jak krew tragiczna
czerwona młodość tych peonii.

Tadeusz Chróścielewski

TULIPANY

Czerwone złoto tulipanów
na czarnym słońcu — tacy z łyka
i mechaniczny sad melodii,
gdzie w czarnych płytach śpi muzyka.

Metalu więzień — głos człowieka
skazany na ten krążek ciemny
i światła więzień — ludzkie serce,
którego dociec nie umiemy.

Skroś szarug jedwab, skroś bezbarwie
czerwone złoto tulipanów...
Rozkwitaj, pałaj i przemijaj,
i wszystko rzuć, gdy czas w nieznane.

Tadeusz Chróścielewski

FIOŁKI

Kwiaty i tubka telefonu
światłością czarodziejską krzyczą
i księżyc gąbką swą czerwoną
zmywa popioły dnia z oblicza.

Ślimak z kauczuku, ciemna muszla
i ucho nocy — wklęsłość czarna,
i wonie aromatne duszą
jak wprawne palce klarnet gardła.

Z oczu fijołków smutkiem dyszysz
i nęcisz nas, sioostro zarania.
Rozpostrzyj dłonie wielkiej ciszy
nad naszym wiecznym przemijaniem!

Tadeusz Chróścielewski

ARS POETICA

Miniatura słońca — ów owoc natchnienia
z gałęzi drzewa życia — drzewa sztuki szczerej
i twórczość, niby wyrok, sługa przeznaczenia,
handel pięknem ze światem — skąpych muz interes.

Za każdy łut szczęścia kara. Tylko widnokrąg
wzorem koła zaświadcza doskonałość miary.
Publicznie się spowiadam wszem, urbi et orbi,
z pasji, z boleści, z pychy, z nieszczęścia, z niewiary.

I przyjdą z kadzidłami, przyjdą z wag szalami
omylni sędziowie piękna, zważą żal ogromny
oraz stan upojenia, myśl i słowa gameę,
a ty, jak zawsze, będziesz sam, by wszystko zapomnieć.

Florian Nieuważny

MONUMENTALNY KRAJOBRAZ

Czerwone kuby murów i koła placów, i kwadraty
skwerów.

Człowieku, cyrklem myśli mierz przestrzenie miast
i gwiazd!

Bryła na bryle, w kole koło, okno w okno się wdziera,
na miedzi schodów posąg słońca złocisty sieje blask.

Baseny jak zwierciadła nieruchome w kurzawie śpią
czerwonej.

Tu, w gęstej srebrnej wodzie jak w rtęci niebo spada
w głąb.

W zielonych ogniach trawy marmurowe hasają konie,
w parku kamienne anioły dmą z metalowych trąb.

Bohaterowie z piedestałów schodzą, z trąb rwą się iskry
z trzaskiem,

i na armacie słońce, flagi z muzeów płyną w świat,
majestatyczne lwy z sztandarów idą miastem
i marmurowy wódz na kamiennego konia wsiadł.

Tadeusz Hollender

PLAC ANIOŁÓW

Iwanowi Iwancowi

Na placu teatralnym marmurowy tenor
już dwieście lat śpiewa złotym gwiazdom hymn.
Gdy nakaz nocy w ciszę szum wrzecion zamieni,
zamarłe tkalnie spowija siwy dym.

Wracają z hal dziewczęta, ledwie nogi włóczą,
lecz śnią, że je słodko czuły tenor-bóg
kocha i pieści, śpiewem gardło płucząc,
a zdradliwe koty łaszą się do nóg.

Gospodarz miasta — lew, co śpi pod arsenalem,
wstał ciężko, by przeciąć pustkę placów wszcz.
Herosi śpią, w domach rozpusty hałas,
a więźniom w celi wydzwania wolność deszcz.

Na placu aniołów z brązu spowitym w ciszę,
gdzie inkaust czerwony rozlewają mgły,
historyk z piedestału o przeszłości pisze,
gęsie pióro macza w kałamarzu z ćmy.

1936

Florian Nieuważny

A P O K A L I P S A

Podnoszą się jak senne, gigantyczne lwy ciemne sylwety
ciężkich, przyrosłych do ziemi kamiennostopych turem
i więźniów po nocach odwiedzają kochanki i komety,
i miesiąc jak rudy pajak pełźnie wolno nad murem.

Gdy słowa zmiele na groch, gwiazd napróżno błagać
o łaskę.
Na gwiazdach, jak na ścianach, wilgoć, pleśń, liszajów
płaty.
Oblicza więźniów księżyc myje zimnym i niebieskim
blaskiem,
aż obrosną za noc jak pnie okrągłe mchem kosmatym.

Podziemnych rzek śliskie, koszmarne ziele, mokre
gwiazdy, żmije,
doliny księżyca obrosłe orzechowym gajem.
Sto dni i sto nocy leją rude deszcze i wicher wyje,
woda się wznosi, ciemnice i gwiazdy zalewając.

Gdzie się nie ostał na kamieniu kamień, znikły góry,
bory,
znów murarze nową turmę wznoszą, trudząc się wielce.
Zakwita pod szubienicami szkarłatny kwiat mandragory
i szczęście żywym przynosi znowu sznurek wisielców.

Florian Nieuważny

PIEŚŃ O NIEZNISZCZALNOŚCI MATERII

Zaszyty w ciemny gąszcz i otulony wiatrem,
nakryty nieba dnem, spowity w krąg pieśniami,
jak mądry lis przysiadłem pod paproci kwiatem
i stygnę, i twardnieję powoli na kamień.

Roślinnych rzek ku górze wspina się płatawa,
chwil mknących, komet, liści nieustanny łopot.
Rozmładź mnie pięść słońca, spali ognia potop
i z ciała będzie węgiel, z pieśni popiół rdzawy.

Jak lawa się przetoczą tysiączne stulecia,
gdzie myśmy kiedyś rośli, staną jakieś palmy
i węgiel z naszych ciał zakwitnie czarnym kwieciem,
i w serce me zadzwonią oskardem w kopalni.

Kazimierz Andrzej Jaworski

OCEANIA
ALBO
W DOLINACH MORSKICH LWÓW

Omamia zimnym światłem zielonobłękitnym
podwodne słońce w dolinach koralowych,
gdzie w kędziorach topielic martwe perły kwitną,
ciężkie jak bryły lwy na gwiazdnych śpią wezłowiach.

Oto z procy ranku wystrzela słońca kula
okrągła jak busola i prędką jak mewa,
zielony strumień wód różowy pył zawiewa -
jak rój szkarłatny pszczoł z rozburzonego ula.

Delfiny złote trąbią na miedzianych muszlach,
jak błyskawica w locie trójząb fale orze,
grzywy czerwone oraz majtków białe dusze
błąkają się jak cienie w nienazwanym morzu.

Florian Nieuważny

POLARIUM

Zastygło morze w czarze wyrzeźbionej z lodu,
jak mistyk złotousty miesiąc mknie w błękity,
aniołowie polarni pieszczą boże wody,
zwierzęta wyją głucho, spragnione, niesyte.

Tu jeszcze nie dopełzło to ludzkie robactwo,
na grzbietach nieba dzwon podnoszą srebrne lisy,
wieloryb myje gwiazdy, w górze białe ptactwo
jak strzały zodiakowe nieruchomo wisi.

Gdy Panna Zodiakowa czarne włosy czesze
i Wodnik-garbus cienie z legowiska woła,
wtedy ziemia północna jak szkarłupnia gnie się,
a w śniegu krwistym dusze mamutów brną wkoło.

Kazimierz Andrzej Jaworski

BURZA

Nadciąga burza. Już się tulą
olchy w objęciach wpół zamarłe.
Jakby wytchnienia chciały, ulgi,
nieba ubłagiwały szkarłat.

Po trzykroć zryw — i szal wichury —
i błyskawica chmury strzępi,
aż maki, mrużąc ócz purpurę,
kłaniają się chorążym lęku.

Klarnetów spazm i wichru taniec,
i wyje nocny lis-astronom —
niebo, czerwienią krwi oblane,
tnie niczym blachę ostrze gromu.

Tam — ponad burzą — wolna przestrzeń,
chwila — i głębię chmur wydrąży.
Naówczas słów mych grot złowieszczy
z gromem skrzyżować celnie zdąży.

Waldemar Gajewski

C U D

Nad ranem. Gwiazdy nocką czarną
zdobią jak złote guzy płaszcz.
Dzień je odpruwa — maku ziarnem
słowikom je rozsypie w krzach.

W zapaskach ciszy śpi dolina,
gdzie mech zadumy — jakże iść...
Już toczy się stuziarna dynia
na łopuchowy ranka liść.

Jak dynię wicher zsuwa słońce
na przetak dolin, złoty most.
Już się zbudziły róże pnące,
liście do nieba rwą się wprost.

A serce, wciąż nienasycone
przeniknąć wszystko chce do dna
trzepocze z liśćmi, tak jak one
do bólu pragnie cudu dnia.

Barbara Dohnalik

KOŁODZIEJSTWO

Już słońca koło sprytnie zbija stelmach,
jeszcze obręcze — do osi płomiennej!
Tym wozem będzie jechał jutro Zelman,
klucznik, starosta hulanki weselnej.

Odnosi stelmach słońce do kowala:
— Wykuj mi obręcz z najczystszej czerwieni,
niech jak lwia grzywa słońce się rozpala
dla wiosny w różach i w astrach jesieni!

Helena Kożusko

CZEREMCHY

Czeremcha dymi — świeczka z wosku,
w pobożnej ręce tkwiąc wieczoru.
Oto wracają po nieszpórach
Łemkowie pogrążeni w troskach.

Kraino gór, gdzie się urodził —
zapomnieć czeremch twych nie zdołam,
kiedy nad nimi księżyc wschodzi,
księżyc — owsiany kołacz.

Jerzy Pleśniarowicz

U R Y W E K

Lękam się zgasić płomyk lampy,
aby straszniejszych snów nie było.
by noc uderzeniami jambów
jak nóż w me serce się nie wbiła.

Nie zasnę! Księżyc rozsrebrzony
toczy w zegara takt godziny.
Mój sen, głos serca niespokojny
tragicznej mojej Ukrainy.

Waldemar Gajewski

ZAPOMNIANA ZIEMIA

Nocą nie pali wioska światła —
nie chce księżyc snów wykładać,
co żółtym bezimiennym kwiatem
wyrósł, deszczami zmyty, w sadach.

Wody zgęstniałe z grobel zbiegły,
gdzie horyzontów lot się szepił,
gdzie na barłogach burych legły
zwierzęta, ludzie i komety.

Ziemia sieroca, dżdżem schłostana
pod ołowianym dachem nieba!
Ta pieśń w moim sercu — niczym kamień,
ale nie można jej nie śpiewać.

Waldemar Gajewski

POD CAŁUNEM ZACHODU CZERWONYM

Płoną jak watra zabobony
minionych wieków — snów z pryncypu.
Pod całunem zachodu czerwonym
młodości mej stubarwne miasto.

W topolach gwiazdy pobłyskują,
czynią znak krzyża ludzie z trwogą,
kiedy gdzieś księżyc sztyletują
chasydzi w czarnych synagogach.

Miasteczko moje tajemnicze
zasłoną wspomnień otulone.
Znów głos młodości mojej słyszę,
tak jak pradawne zabobony.

Bazyli Nazaruk

DO ZIMNYCH GWIAZD

Przykryta nieba szarym wiekiem,
noc niczym brąz zastyga mętnie.
Gwiazd gorejące złote ćwieki
tężeją w lodowaty błękit.

Chmurny, zjadliwy, dusząc wściekłość,
oczy zasłanisz lunatyczne,
bo w sercu twoim — czarne piekło —
mrok średniowiecza i mistyczność.

Zadrżnij w ów wieczór zabobonów,
niczym astrolog zmierz gwiazd mnogość!
Niech wszystkich, tak jak ty bezdomnych,
przygarnie morze, noc i ogień!

Waldemar Gajewski

SŁOWO O CZARNYM PUŁKU

Słowo o słowo dzwoni i jak metal błyska.

— Nie przeklinam, śpiewam

rozbite kohorty, zdziesiątkowane szeregi, pułki z pozycji
wyparte!

Chwała tym, co siostrę namiętnie całują na

pobojowiskach,
a dla drżących jak ślimak w muszli, trzcinę grzbietu
gnących — mam tylko pogardę!

Echo klęski dobiega mych uszu, jak z czeluści bezdennej
zdrady
gromów pogruchotanych, w sieci pojmany pożegnalna
skarga.

Widzę w mroku: cięciwy skał, napinając łuki-wodospady,
jak ostre strzały, ptactwo krzywodziobe wyrzucają
z nagłą.

Świta. Pułk w odwrocie. Anabazis pod niebem

afrykańskim.
Spisy w niebo wbite kłują księżyc, krew ruda broczy
z niego,
i hebanowy wódz z kolczykiem zorzy w uchu, śpiew
pogański

jak wyzwanie ciskając w chmury, boga klęski przeklina
złego.

Nie ma pardonu — i bagnety grzęzną w ciele jak pług
w czarnoziemie,
w urodzajnym polu czarnych ciał sieją posłuszeństwa
i trwogi ziarno,
by przez siedem pokoleń pamiętało i wiedziało na zawsze
plemię,
żeby syn wnukowi, wnuk prawnukowi niczym skarb
przekazali wieść,
jak porządek zaprowadzano.

I trup przy trupie jak puszcza zrąbana gęsto się ściela,
w czerepach strzaskanych bulgocą mózgi jak żółta oliwa.
Kto sieje krew, zbiera nienawiść. Chrzest przyjmijcie,
ciało przy ciele!
Muzo rzeźników, zielonooka czarna księżniczko, niech
posoka zbełtana spływa;

Chłepcą benzyne smoki do nosorożców podobne
i ptaszysk,
śliną węzową pluja — ziarnem ognia, płynnym ołowiem,
wypełzają z pieczar księżycowych — i prosto do paszczy
miotła komety, w kurzawie, ludzi zmiata im jak listowie.

Na górach czarnych rąk i czarnych nóg — czerwona
krew, żółta piana,
śliska śmiertelna piana z warg rozdartych przez
pocałunek armatni.
Ziemia w wybuchach min, jak w krzakach ognistych, jak
w tulipanach
dźwięcznych, wytryskających z głębi, wyrrywających się
z matni.

Działa rozwijają wachlarze dymów jak skrzydła przed
lotem,
ruszają i kołami miazdzą zwały ciał i przez grudy
żelastwa pędzą,
na czarnych żuchwach lepka śmiertelna ślina, oczy
zlepione potem,
pył z blach i śluz z ust i błoto krwi — liże rdzawych
zarzewi jęzor.

Głucho chrapią gardziele i duszność ohydna palce zaciska
i łamie,
dłonie jak liście spłaszczzone — kwiaty zdeptane przez
życia żądzę
zapalają się po raz ostatni i w niebo rzucają
przekleństwa kamień.
Wszystkie skarby za chwilę życia! Noc tylko wszystkich
ukoi i na zawsze rozsądzi.

Łopata słońca, grzęznąc w ciepłej żółtej miazdze, kopie
mogiły,
łopata słońca, chrzęst prężnych wiatrów, szakali
pogrzebowy obrzęd.
O czarne ciało, w rudy piach spowite, w całun ciszy
i bezsiły,
namiętności wyzbyte, w ziemi dłoniach jak ci spokojnie
i dobrze!

Niech czarna Matka Boska z obrazka zaprowadzi, gdzie
źródła i palmy,
gdzie smoki nie straszne i wieczna cisza rozsłana po
sennej wodzie!
Słowo w słowo uderza — płyty brązu dzwonią.

Kończmy śpiew pożegnalny,
kiedy rozbity czarny pułk w krainę gwiazd na wieczną
noc odchodzi.

Luty 1936

Jerzy Litwiniuk

Z TOMU
«ZIELONA EWANGELIA»
1938
PODROZDZIAŁ
«KSIĘGA PIERWSZA»

ZAPROSZENIE

*Ze wszystkich zjawisk
najdziwniejsze — zjawisko istnienia*

Dzień zgorzał, spalił się na węgiel nocy,
wieczór zmył z trawy popiół chłodem rosy
i strach jak kornik twoje serce toczy
i księżyc cienie zabłąkane płoszy.

Samotny druhu, niczym noc swą ciemność
przywdziejesz wkrótce świtu tajemniczość.
W wieczór wiośniany wstąp do karczmy ze mną,
by do miesiąca przepić mocną okowitą.

1931

Krzysztof Rozner

ŻYCIE PO GRECKU ZNACZY BIOS

Owies, motyli drżenie, przysięgi kochanków.
Wiosna wrzecionem maja wiruje po trawach.
Lisice, kuny, panny o poranku
wychodzą przemyć oczy w bujnołozych stawach.

A zegar słońca kwiatom wybija godziny
i maki gaszą płatki wieczoru zapaską.
Oto pod nieba niezmierzoną łaską
na świat przychodzą ludzie, zwierzęta, rośliny.

29 marca 1935

Barbara Dohnalik

DO ISTOT Z GWIAZDY ZIELONEJ

Biosu prawa są dla wszystkich jednakowe:
narodziny, cierpienie i zgon.

Cóż pozostanie po mnie: popiół mego słowa,
coż pozostanie po nas: z kości — trawy plon.

Lwy, lisy, jaskółki i ludzie,
zielonej gwiazdy robaki i liście,
materii prawom niezmiennym poddane,
jak niebo ponad nami iskrzy się srebrzyście!

Rozumiem was, zwierzęta, rośliny nieznane,
i słyszę, jak komety pędzą, jak kiełkuje trawa.
Antonym też jest zwierzę smutne, kędzierzawe.

18 maja 1935

Kazimierz Andrzej Jaworski

EPICKI WIECZÓR

Pod sztandarem miedzianolistnych buków,
gdzie stacza się słońca ognista patelnia,
brązowi jak trzmiel chłopcy z brzęczeniem i hukiem
gwarzą i wybuchają pył z rudych cegielni.

Na falach soczystych traw, w zielonym dymie
kołyszą się krowy niby ciężkie kłody,
gwiazdy o gwiazdy dzwonią ponad nimi,
szumią pod nimi bujnie życiodajne wody.

Ten prąd, co z sennych kwiatów błękitnawym dymem
przechodzi w pełnię ziaren, żądzą wzrostu płonie,
upadłszy w płodną wilgoć, kiełkuje nasiona.
Mężczyźni owłosieni palą żądnym okiem
biodrzastych i piersiastych smagłych dziewcząt łona.
Garbaty anioł lasu kusi w mchy głębokie.

W pergamin nieba zawinięte gwiazd zodiaki
swastyką się jawią oczom każdej nocy,
naszej wiary marzenia płoną ogniem maków.

Z gwiazd już zagasłych iskry olśniewają oczy,
koguty czerwone do księżyca krzyczą —
to burza piękna, prażródło gromobicie!

Tak rodzą się religie. Tak się nowy ład uładza.
Tak rodzą się bogowie, zwierzęta, gromady gromadzą.
Epicki wieczór obejmuje władzę,
niebieski wieczny sztandar łopoce tajemniczo.

Po stokroć głoszę chwałę bujnej pełni życia!

25 września 1935

Bazyli Nazaruk

OSIEM STROF EKSTAZY

Szeleszczą w skrzyniach lnu ziarna zielonkawę,
tłusty i ciepły pył wiruje w olejarniach.
Co rusz w krępych lipach przekleństwem się dławi
dusza zielona, którą niepokój ogarnął.

Robactwu się nie da wartki strumień życia,
a z drzew dziecięcy wciąż zielone iskry krzeszą.
Czerwońcem gwiazdy wieczór się z dniem rozlicza
za słońce, które go w czerwony mech rozczesze.

Krwawą sadzą zachód osypuje lipy,
co krągłe, niby sito, sieją senne siemię
i struny listowia raptem milkną, chlipiąc,
pod dotykiem wiatru, co ciszę w szelest zmienił.

Panny z olejarni pachną lnem mdlejąco,
gdy, niby kwiat, kochankom odsłaniają łono,
i dzwonem wybucha oszalałe słońce,
w huczne talerze chmur uderza odurzone.

Raptem ucisza się w hymnie zwariowanym
niby w makuchach, co olejem ociekają,
i wlewa się strumień dziki, niewstrzymany,
w korzenie ciał, do tętnic lip, do gąszcza gaju.

Patrzcie: pożar świata, pierwiastków burza ciemna,
modlą się rośliny, w szale każdy kolor,
od dołu przy korzeniach dmą wiatry podziemne,
aż lipa jak klarnet zagra pierwsza solo.

Drzewa — kominy ziemi dymią nierealnie
złocistym, zielonkawym i szkarłatnym dymem.
W słomianym mroku pnie, szczyty w pożegnalnym
zawoju słońca, co jak ptak, zaszło za nimi.

Śpiewam zachód, lato, lip aromat parny
i wieczną zmienność świata wieczorem i rankiem,
sławię nieustanną pracę w olejarni,
płomiennosc dusz, ekstazę ciał i chmiel kochanków.

11 grudnia 1935

Florian Nieuważny

«PIERWSZE LIRYCZNE
INTERMEZZO»

BIBLI I ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy jeszcze kamień śpiewał, zmije skrzydła miały
i Ewa ubierała się w czeremchy liście,
bardziej porywczo i upojnie wiatry wiały
i morze zapalało się od gwiazd srebrzyście.

Gdy Ewa księżyc zerwała z jabłoni,
lwy bujogrzywe buntem w raju zapalały.
Synowie Adamowi poszli w świat i oni
wznosili Ewie miasta i pałace okazałe.

4 kwietnia 1935

Bazyli Nazaruk

W E S E L N A

Dla Oleczki

Słuchaj: weselny bęben gra nam,
klony jak pawie kłonią głowy.
We włosy twoje, ukochana,
wplótł się kędziorem księżyc płowy.

Czemu przygasły skrzypiec tony,
czemu drży twoja dłoń w mej dłoni?
Jak mchem noc blaskiem rozsrebrzonym
omotuje podkowy koniom.

12 marca 1935

Jerzy Pleśniarowicz

CHMIEL

Dziewczyno, chmielu mój wiosenny,
oplec się, owiń mnie koliście.
Szykują z mchu dzięcioły sen nam
i w gajach stu szeleszczą liście.

To wiosna, śluby roztańczone,
truciznę w żyły sączą noce.
Chmiel pieśczośliwy — twoje dłonie
i szczęścia niezgłębione moce.

9 marca 1935

Stanisław Ulicki

DWA SERCA

Pod wieczór, w pieśń, do horyzontu,
objęci ze swych pójdźmy domów.
Spójrz, gwiazdy niby z dachów gonty
wichura strąca z nieboskłonu.

Skrytych przed ciżbą, która ziębi,
futrami nas otulą noce.
Niech para serc — para gołębi
w dwugłosie tęsknie zatrzepoce.

3 kwietnia 1935

Stanisław Ulicki

TARNINA

Słońce jak motyl zaczajony
krzaki tarniny rozplomienia.
W błękit twych oczu przygaszony
patrzę nieśmiało z uwielbieniem.

Kiedy nas noc rozdzieli sennych,
serca zabiją rozłączone,
szczyrbaty księżyc snem bezdennym
czaruje martwo i zielono.
Lecz ty bez lęku czekaj, luba,
kiedy miłością dzień radosny
uskrzydli upragnioną chwilę,
kiedy motyla słońca wiosna
do kolców tarnin znów przyszpili.

29 marca 1935

Bazyli Nazaruk

PODKOWY

W sto wozów wiosna wnet zawita,
jak łuki giąć się będą smyki.
Wiosenny deszcz już cedzą sita,
diak świece pali, lśnią płomyki.

Czas jechać, a my — niegotowi,
basy się tym zniecierpliwiły.
Niech, miła, z nowiu nam podkowy
kują kowale ile siły.

9 marca 1935

Stanisław Ulicki

BARWINKOWA SZCZEROŚĆ

Miłość daj mi zwyczajną i prostą,
tak jak kochać potrafią dziewczęta.
Kiedy białym przychodzisz mostem,
niesiesz gwiazdę we włosy wpiętą.

Zrozumiałem, że tak gorąco
można tylko pierwszy raz całować.
W twoich słowach wzruszeniem drżących
zapachniała szczerłość barwinkowa.

9 kwietnia 1935

Jerzy Pleśniarowicz

MAŁY HYMN

Struna się stroi do muzyki,
do szybowania strzała rwie się.
Czerwone gwiazdy jak grosiki
legły w wieczoru mrocznej kiesie.

A serce? Sercem upojonym
kochać i cierpieć pozostało.
Bądź wietrze mój błogosławiony,
żyj wiosno moja wieczną chwałą.

12 marca 1935

Stanisław Ulicki

PORTRET CIEŚLI

On kochał się w mistrzostwie, był mistrzem w kochaniu,
ciosał cerkwie strzeliste, czarował dziewczyny,
ciosał słowa natchnione, grał na skrzypkach rzadkich,
szczęściem były pijane panny i mężatki.
Oj, nie jedna straciła wianek z tej przyczyny!

Gdy umarł, zostały po nim jego dzieła:
dźwięk pieśni, świątynie w srebrzenia bogate.
Diaci śpiewali, ciżba pieśń podjęła,
każda cerkiew oblekła się w żałobną szatę.
Oj, jak płakało w ten okropny ranek
dwanaście sławnych z urody kochanek.

4 kwietnia 1935

Stanisław Ulicki

SYN CIEŚLI

Dębowa skrzynia, w skrzyni piosnka i siekiera.
Siekierą ojciec co dzień pokłon bił przed Bogiem.
Twój dziad też cieślą był i stoją cerkwie cztery,
którymi on zakończył życie swe ubogie.

Niestety, twoja ręka już nie do topora,
nie będziesz ciosał z drzewa marzeń swych skrzydlatych.
Tak ptaki naszych gór kieruje września pora
ku dolinom w dziewczęta i kwiaty bogatym.

16 marca 1935

Kazimierz Andrzej Jaworski

J A R M A R K

Mój brat — krawiec chłopięcych marzeń
zeszył dziś ziemię z niebem.
Goreją chustki u kramarzy
niby stubarwny grzebień.

Śpiewają cieśle, bębny grają.
Odkryją tajemnicę:
Czerwone słońca sprzedają
na jarmarku w Gorlicach.

20 stycznia 1935

Jerzy Pleśnarowicz

ZAZULA

Oj zakukała znów zazula.
Kuka już chyba setny raz?
Dwadzieścia wiosen wolny hulam,
pieśniami odmierzając czas.

Srebrzy się rosa na malinach,
do wiosny chłopca modły mkną.
Zazulami minuty płyną,
chłopięce sny małując wciąż.

20 stycznia 1935

Florian Nieuważny

DO DNA

Wyciosałem poemat ze srebra,
poemat-niby jodła.
Wiosna wstrzymała bieg swój, blednąc
jak z marzeń dziewczę młode.

Nuć, siekiero, ty, szale cieśli,
ociosuj pieśni znowu!
Do głębi, do dna ostrze pieśni
wrzynam w korzenie słowa.

20 stycznia 1935

Florian Nieuważny

MÓJ CECH

A w moim cechu cieśli i artystów
upojne tajemnice, powabów gehenna.
Pióro i pędzel drżąc w ręku jak listek,
przekłuwają mych myśli motyle wiosenne.

Śpiewna siekiera no i ostre dłuto
kształtują glinę słów i drzewo tonów, pieśni.
Ten świat — upajającej pieśni płótno,
za małe dla artysty — za duże dla cieśli.

20 stycznia 1935

Florian Nieuważny

Z PODROZDZIAŁU
«KSIĘGA DRUGA»

CHLEB POWSZEDNI

Aż do korzeni rzeczy, dna, istoty, łona,
do jądra słowa, do trzewi jasności!
W ekstazie szału, w chwili jej słabości
zniszczyć świadomość, niech się ta zasłona
jak zbędna skóra zsunie z nas do końca.

Liliowe sny pomięte; płachta gorejąca
zwija się w trąbkę z pozłacanej blachy.
I płomienistym ćwiekiem wbite w szare piachy
rozcina słońce horyzont daleki.
Jak mapy z wiatru rozwichrzonej teki
czas zbłękitniałe krajobrazy zmienia.
Przechodzą senni ludzie, senne przywidzenia,
kołysząc się na linach jasnych ranków.
z trwożnym śmiechem,
chimerycznie, bez ustanku
wygina się jak blaski ostrza mowa.
Do dna ziemi,
do głębin jedyne go słowa
chcę się wdrzeć używając próśb, przemocy
i wyszarpać z rąk zazdrosnej śmierci
kilka pieśni,
kilka szaleństw,
dni i nocy.

4 stycznia 1936

Stanisław Ulicki

BÝKI I BUKI

Nad ziemią potok roślin grzmi, bulgoce. Lasu lawy
jak mroczne mury. I zieleni źródła biją ponad pniami
i miodu żółty płomień w beczkach kłoców, kłód
dziurawych,
rudawy ogień kory, jagód rozpryskane plamy.

Przetacza znowu koło nocy wiatr ze stoków łysych
za krańce gwiazd, gdzie zbiegały łąki cienia.
Wspomnienie dawnych wód pobudza źródło, co z ekstazy
wysechł.
Pięściami buków gwiazdom złym wygraża z dołu ziemia.

Jak rząd spróchniałych zębów pniaki w jamach tkwią jak
w paszczy.
Dzień idzie. I kalinę próżno zorza o krew błaga,
aż wreszcie, jak bez treści słowo, padnie smutna, biała,
na piersi dnia, co wznosi w górę mgieł siwawe chaszcze.

Śpi ciała niecny pień w praborze gwiazd i namiętności,
śpi ciała pień i dusza w nim — uśpiona w głębi watra,
jak byki jaskiniowe skaczą do się buki w złości,
gdy w nich rozjątrzy nagle krew słońca szkarłatna
płachta.

28 maja 1936

Olga Petyk

ZNAK DĘBU

Za groźbą dni i nocy trzech, gdzie wir się wolno pieni,
w półśnie półbytu zieleni otchłań nieobjęta.

Do pni przykuty wiatr i chytry bożek przerażenia
o zmiennych twarzach stu, że nie sposób je spamiętać.

Przyziemne błyskawice-żmije spelzają smugami
po pniach śliskich od rosy stygnącej w mleczne szkliwo.
Noc marnotrawna niszczy nadmiar form jak zbędne
plamy
i tylko dąb-dusigrosz monety liści skrywa.

Gwiazda wsparta na promieniu stanęła ponad jarem,
gdzie borsukiem w norze zło zamarło bez oddechu.
Czadem zionie z mokradeł, pleśń płonie rudym pożarem,
a noc — czarny bawół, w jej rogach nów, jak sierści
wiecheć!

Szalona wielość form. Bogactwo przeznaczone marom,
a wzwyż pustynia nieba — ludzki jęk i zachwyt, martwe
światło,
jedynie dąb, roślinny lew, dumny i skąpy monarcha,
unosí rankiem berło słońca nad marnotrawnym światem.

9 czerwca 1936

Bazyli Nazaruk

NOCE ŚWIĘTOJAŃSKIE

Odblask miesiąca w chmurach pieśnią powtórzony,
chmury zaś w srebrnym murze drgające atlasem.
Od gwiazd liściaste struny, wijące się tony.
Grzyby rudymi talerzami tłuką w bęben lasu.

Pnie dębowe — puzony orkiestrą zwycięską
zabrzmiały hymnem nocy. Bez ciężaru winy
wilki niosą dąbrowie dary z krwi i mięsa,
rdzawe pyski muskają grające rośliny.

Traw dzikich ślad. I czary w dziezach bagien mieszą
czerwono-bure ciasto błota. Pohukują sowy.
Gwiazda brew srebrną mruży, spogląda na miesiąc.
Gwiazda — siostra muzyki w kirze nocy wdowiej.

W rosie gęstszej od kleju kwiat przemówił słowem.
Soczysta zieleń płachtę nocy wdziała grubą.
Korzenie poskręcane jak klucz wiolinowy
splatały się z melodią, pnie grały na zgubę...

Wierzenia otoczone tajemnicą leśną —
tu przyszłe burze srogą szykując nawałę
błyskawic ostrza cienkie ostrzą głośną pieśnią,
by rozpostarte skrzydła ludzkich snów łamały,

by strzechy chat wieńczyły z ogniem zaślubiając,
by strach — podziemia dziecię krzyczał pośród nocy.
Nierealne otchłanie gąszczem wyrastają,
by nas mową pradawnych, dziwnych wiar otoczyć.

Słowa — jak kra wiosenna w rzekach — przemijają.

Krzysztof Rozner

D U E T

Z wolna ku ziemi ciężąc jak w gniazdo kołyski
gałęzi zieleń wiąże nas — akordy dwa spętane.
Siekiera słońca w pień dębowy wbita ostrzem błysku,
muzyka mchu, pieszczota wiatru, dąb — bóg i kochanek.

Na tratwie dnia, co niesie ciała nasze posłuszne i ciepłe,
zrastają się dwa kwiaty jako dwóch snów pnące.
Mech sierścią kota grzeje. Gwiazdy zmieniasz w szepty,
zaś krew w zieleń i muzykę. Niebo światłość sączy.

Brzeg dnia... Za morzem nieba wiatr przyszłości drzemie,
na wiernych gwiazdach, w dali — czeka nas dom
z marzeń,

dopóki go nie zburzą złe rozkazy Ziemi.
Odrzucimy precz wszystko. Gwiazdom jedynie
skradniemy ekstazę.

Krew do bólu pulsuje, brwi jak strzały kołą.
Melodia księżycem wielkim podąża donikąd,
jest jak wichru skrzydliska. Gwiazdy nas niewolą.
Spragniona, jak ziemia, płoniesz. Cała jesteś muzyką.

18 maja 1936

Krzysztof Rozner

«DRUGIE LIRYCZNE
INTERMEZZO»

SZYNKARSKIE CZARY

Kopca ła świeczka, nóż szczerbaty,
czerwienny śmiech królowej z kart.
Jawa zmieszana z snem skrzydlatym:
niereczywistość — noc i czar.

Drżą usta wsparte o szkło czarki,
a w gardle mym rozpaczy skrzep.
Dukatów sto ci dam, karczmarko,
lecz sprzedaj mi księżycą sierp.

13 marca 1935

Kazimierz Andrzej Jaworski

JAWOROWA OPOWIEŚĆ

Mała ballada

Miał córkę diak powabną wielce,
Jawor do niej ogniem płonie...
Poczuła płód pod swoim sercem
od tej miłości szalonej.

Umarł diak z bólu i z niesławy,
twarz chmurna, gniewna, córkę wini.
Krzewem jak matka kędzierzawym
rośnie syn drzewa i diakini.

31 marca 1935

Barbara Dohnalik

CZEREMCHOWY WIERSZ

Już noc upojnym kwieciem wzbiera
i czeremchową dymi mgłą,
gwiazdami zdają się litery,
blaskiem z otwartej książki lśnią.

Stół liśćmi obrósł. Drzewa witam
wraz z krzesłem w krzak zmieniony tuż.
Z czeremch — stulistnych ksiąg odczytam
roślinną mądrość wiecznych puszczy.

21 marca 1935

Jerzy Pleśniarowicz

KAZANIE DO RYB

Do karpi i karasi, płoci i delfinów,
do wszystkich braci z słodkich i ze słonych wód:
Wy nie dawajcie nam swej ikry ni fiszbinu,
nas nęci wasza przestrzeń, waszych głębin nurt.

Ciężka woda, od wody jeszcze cięższe niebo.
To dlatego nas kusi otchłań waszych dróg,
dlatego wciąż czaruje i wabi do siebie
z morskiego dna wasz koralowy bóg.

4 kwietnia 1935

Kazimierz Andrzej Jaworski

OLCHY

Wiosna na olchach mirrą kadzi,
pachnie poranków chłodek siny.
Zielony kodeks kwietnia władza
napisze dla karasiów, linów

Do stawu, co się w gaju chowa,
idą dziewczęta chmury uprać
i wiatr roztrąca sieć listowia,
bo chciałby słońce z olchy ukraść.

I serce znów znajduje słowo
śmigłe, pijane uczuć szaleń!
W niebiosą jasne, malinowe,
jak ptaki olchy poleciały.

14 kwietnia 1935

Florian Nieuważny

KALINA

Kalina w dół się pochyliła,
jak jagoda rośnie czerwone słowo.
Do wiosny modły swe zasylaj,
karbuj w kamieniu piosnkę kalinową.

Lecz promień słońca niby strzała
przeszyje słowo i przebije kamień,
tylko kalina wciąż wytrwale
kwitnie co roku liśćmi i pieśniami.

9 marca 1935

Florian Nieuważny

Z I M A

Krawcy futerka lisom szyją,
wiatr na zawieję trąbi w męce.
O Boże, strzeż, gdy zamieć wyje,
osiedli ludzkich i zwierzęcych.

A zima w młynach stu pszenicę
przemiała w srebrno-modre śniegi.
W obliczu burzy noc się iskrzy,
wioszczy przywalając niebem.

31 marca 1935

Florian Nieuważny

ZACHÓD

Nad łąką chmury kędzierzawe
jak owce, które księżyc pasie.
Rosną dziewczęta niby trawa
na radość chłopcom i fagasom.

Słońce rogami bodą woły,
aż z niego cieknie krew czerwona.
Spurpurowiały trawy w polu —
to zachód niby rana płonie.

23 kwietnia 1935

Florian Nieuważny

W I O S N A

Rośnie Antonycz, rośnie trawa nowa
i zielenieją olchy kędzierzawe.
Tylko się nachyl, nachyl się łaskawie,
usłyszysz najtajniejsze z wszystkich słowa.

O, nie trwóż, wiosno, deszczykiem kwietniowym!
Kto stłukł jak dzbanek szklany modre niebo,
kto sypie liście — skrawki szkła na ciebie?
Czy chcesz w rzeszoto deszcz rzęsisty złowić?

Brzmi wszak najdziwniej ta mowa gajowa:
do strzelby nocy wbił ktoś gwiazdy-kule,
na olchach księżyc rozdziobią zazule,
rośnie Antonycz, rośnie trawa nowa.

Florian Nieuwazny

WIŚNIE

Antonycz chrabąszczem był, na wiśniach kiedyś mieszkał,
tych wiśniach, które w wierszach Szewczenko opiewał.
Ojczyzny mej gwiaździsta i biblijna ścieżko,
w kwiatach wiśni i śpiewie słowików na drzewach!

Gdzie świty, gdzie wieczory są ewangeliczne,
gdzie słońce się na wioski białe złotem ściele
i gdzie natchnione wiśnie okwiecone ślicznie
jak za Szewczenki — znowu poją pieśni chmielem.

16 kwietnia 1935

Kazimierz Andrzej Jaworski

MIT

Jak gdyby w starych księgach praaryjskich
znów czółno, strzała i podkowa.
W dąbrowie znowu wojsko srebrem błyska,
sanskryckie rozbrzmiewają słowa.

Wysokoczołe blond plemię nadciąga
i jego słudzy — rumak wraz z korabiem.
Płoną na niebie jasnych gwiazd chorągwie
jak skrzyżowanie uskrzydłonych szabel.

22 grudnia 1934

Florian Nieuważny

WIEŚ

Uwięzło słońce wśród dwóch klonów,
dymi wiatrem obwiana rola,
a pól kołowrotek zielony
wokół słońca zatoczył koło.

Rzeka jak pas lśni; lasu smuga;
szumi łąk powódź niespokojna.
I znowu wznoszą modły pługi
tam, gdzie niedawno grzmiała wojna.

12 marca 1935

Florian Nieuważny

CHATY

Chaty jak grzybów rząd czerwonych
rosną pod wiatrem dmącym hojnie.
Wnet po dachówkach deszcz zadzwoni.
wsi moja, jeszcześ jest spokojna?

Po dawnych wojnach, co tu grzmiały,
w lasach szkarłatnych wyją lisy.
Ludzie wciąż łuny pamiętają,
nad wioską znów kometa wisi.

Dziewczęta słońce myją w rzece,
olchy nad wodą o czymś radzą.
Tu orzą, sieją od stuleci
i buntowników karze władza.

12 kwietnia 1935

Florian Nieuważny

POWRÓT

Wróciłem tam, gdzie olchy, ryby,
gdzie mięta, iwy, kwietne ściany;
i znów całują czarne skiby,
padłszy przed słońcem na kolana.

Słońce pochyla się nade mną,
jak matka, gdy nad synem stoi.
I znów jak rosą kwiat napoi
mnie ziemia — pocałunkiem ciemnym.

Skiby, błękitne łęgi, gaje,
na płocie chmury—płachty schnące.
Jam się narodził w bujnym maju
tu — pod olchami i pod słońcem.

23 kwietnia 1935

Jerzy Pleśniarowicz

KRAINA ZWIASTOWANIA

Zielona zamieć i zielony ogień płonie,
i kwiatów zawierucha i słowicze łkania.
Weselne stoły, obrusem nie zaścielone,
i chmury pszczoł i lipy w modlitewnym trwaniu.

W rumianków rozśpiewaniu — ślimak drogi kręty,
poranku kosz, a w koszu ptak jak słońca drgnienie.
Zaduma—nie zaduma, smutek i nie smutek,
oto krainy tej tragiczne są schorzenia.

Jak smoki dwa: słońce i księżyc, lśni gwiazd śmiecie,
i białe sioła, i żar biały, i biel kurzaw.
Szewczenko idzie — ogień, człowiek, burza —
i patrzy w dal stuleci:

już w ogniu przebudziła się
królewna.

Niech tkwi na oczach ziemi pieczęć — sztolnia mroku!
Dzień nie jest dniem, a noc nocą i nawet śpiewu nam się
wzbrania.

O ziemio ojców, klątwó doli złej, uroku,
ty jesteś dla mnie krainą zwiastowania!

10 marca 1936

Olga Petyk

Z PODROZDZIAŁU
«KSIĘGA TRZECIA»

MODLITWA ZA DUSZE TOPIELIC

My — wymowni i czuli, my — łamiący wiarę,
motylki przenoszące się z kwiatka na kwiatek,
za te, co nas poily miłosnym nektarem,
modlimy się za dusze nieszczęsnych dziełatek!

Na dnie śliski i mokry miesiąc — ślubny pierścień,
i słońce tu jest zimne jak wygasły kamień.
Tanecznice podwodne nie nas teraz pieszczą —
delfiny obejmują martwymi rękami.

Nie bierz do nieba dziewcząt z podwodnego cienia,
o ty, co dno gwiazdami raczyłeś wyścielić!
Ześlij łaskę największą — łaskę zapomnienia,
w korale zamień białe duszyczki topielic!

17 grudnia 1935

Jerzy Litwiniuk

POSŁY OD NOCY

Przybiła łódź słońca do portu — pod okiennice dębowe,
na pożegnanie rzuciła siedem czerwonych wiosł.
Smukłe topole nieboskłon podparły. Odjęło mowę.
Noc śle posły. Pojedziesz, cieślo młody, za losem?

Gdzie soczyste gwiazd grona hoduje twój brat-bożyszcze
w winnicach nadobłocznych, w ogrodzie chwiejnych
gdy kalina o zmierzchu zarumieni się mgliście,
w otwartych drzwiach muzyki stromy blask się rozżagwi.

Unosisz oczy — modre jagody nad przepaścią,
jak pierwszy pisarz klinami spisujesz prawa ładu,
olej w gwiazd mroźnych kagankach jarzy się srebrną
i zmije ociekają jak świece zielenią jadu.

Twój koń jak czarny płomień, jak okiełznany wicher,
jeno mu mleko grzywy po giętkiej spływa szyi,
grzebie kopytem jak wiosłem, na dróg dalekich wołanie
wzdyma chrapy. Wiecznie w nas serca rwą się i dwoją,
i mózgi w ludzkich czaszkach — jak żółte jaskry
w dzbanie.

18 maja 1936

Jerzy Litwiniuk

DAMA DZWONKOWA

Wóz staje na grobli północy. Kto wietrze tutaj nas woła?
Czy świt nam wychodzi naprzeciw, jak jelen z mrocznych
wrót kniei?

Ty nigdy niczego nie zgadniesz. Nikt ciebie pojąć nie
zdoła.

Mój wóz jak ptak uskrzydłony goni w piaskowej zawiei.

Weź karty, o pani różana. Niech los odkryją twe dłonie!
Dzień szczęścia mi dasz czy noc smutku — dla serca
różnica niewielka.

Nie zadrży, nie pęknie, więc grajmy! Kołysz mnie, uśpij
na łonie,
daj wiosny głębinę i do snu syp wiatr i gwiazdy jak
szkiełka!

Więc czarne stawiajmy pasjanse. Choć śmierć mi może
wywróżą,
przyjdź smukła kniahini dzwonkowa i sądy sprawuj nad
nami!

Bo wicher mi dziś nie ustąpi. Jest o jednego za dużo.
I chwilkę, chwileczkę podaruj. Tak zimno tu pod
gwiazdami.

Mam chatę za trzecią jutrzrenką. Tam czeka na mnie
dziewczyna.
Noc ginie ze snu spowita misternie niby z promieni.
Gdzie skrzydła swe kąpią słowiki, gdy słońce wschodzić
zaczyna
wzrok światła złotymi ćwiekami przybity został do ziemi.
Nim, drżącą w przeczuciu nieszczęścia, ktokolwiek kartę
zobaczy,
ów cud pijanego szaleństwa raz jeszcze sprawić racz
pani.
Rzuć, zorzo, do studni najgłębszej złą kartę — kartę
rozpaczy.
A zaprząg mój górą poprowadź i zbaw od zgubnych
otchłani!

Już świta w dolinie śpiewaków. Świergołą szczygły
w błękiecie.
I kwiatów zroszona siwizna pod złotym klejem się chowa.
Znów dłonie jak płatki uronią słowa w młodzieńczym
zachwycie;
Wiatr, dom za daleką jutrzrenką, dziewczyna, dama
dzwonkowa.

13 lutego 1936

Stanisław Ulicki

DOM ZA GWIAZDĄ

Rozbrzmiewa roślin hymn głoszący nieuchronność
wzrostu,
serce jest upojone jak po wypiciu siódmej szklanki.
Odjadę hen. Tu byłem tylko przypadkowym gościem.
Do innych będę wzdychał gwiazd, na inne czekał ranki.

Pęcznieją napuchnięte pąki w klejowatej pianie,
spotkawszy się w całusie lgną do siebie, jak do roślin
gwiazdy
i poprzez lejki fiołków noc filtruje czar wiosniany,
aż garścią te zapachy sypnie kwiatom w kielich każdy.

Zielona roślin noc w ekstazie miłości drży, paruje,
w skurczach rozkoszy krzewy, palce, korzenie i liście,
nasienie tryska, z nieba księżyc ziemię rogiem kłuje,
aż zgaśnie dniem przykryty, co jak smok się za nim
iskrzy.

Korzenie w czaszkach zmarłych się krzewią, soków
pełne,
tak życie wpycha w gniazda śmierci świdry guzowate
i dąb do dębu przyskakuje — dwa bożyszcza gniewne,
z rozpędu uderzywszy w pnie, splatają się uparte.

Wirują świetlne koła — wiecznotrwałe motowidła.
Oto ranka wieść dobra, kiedy słońce noc rozmiele.
Radości kielich wychylaj! Daj sercu chmiel i skrzydła!
Poezji daj kipiącej, rozumnej niby zieleń!

Me życie chwilką. Czy mi trwać pozwolił nadal? Nie
wiem.

Uczę się więc od roślin wzrostu i bujania soków.
Mój dom chyba nie tutaj.

Może za gwiazdą hen.

Dokąd
jam tutaj, czuję to instynktem: istnieję wszak, bo
śpiewam.

Pod ziemi korą wrą, bulgocą wartko rwące wody,
brzeg nieba w mgłach fiołkowych, zza muru świtu się
wynurza.

Odjadę już z dłońmi na lirze słońca wschodu,
śpiewając chwałę nadludzkim i roślinnym burzom.

7 marca 1936

Olga Petyk

Z TOMU
«OBROTY»
1938

OBROTY

Biegną aleje dźwięków w domów interwałach,
akordami układa się piętro na piętrze,
w groblach żółtych kamienic wzbiera dzienny hałas
uliczny i cienistych dębów szumią wieńce.

Dzień musuje jak szklanka z herbatą złocistą,
jaśniej błękit, mgiełka po wierzchu się kłębi.
Idą ludzie z miast żółtych i oczy im błyszczą,
choć smutek jak gorzkie nasienie tkwi w głębi.

Cerkwie, giełdy, cukiernie — dla ducha i ciała,
gwiazd i lśniącego grosza. Na szczęścia okruszek
czekać nam, którym inna wizja przyświecała?
Jak sonda w ranę rozpacz zapada nam w dusze.

Lecz tam, za ścianą — jazzband i tańce lampionów,
balet piłek, obojów kolorowy koncert
i głucho żółte piersi olbrzymich stadionów
wzdychają pod stopami ciżby tratującej.

I dym do nóg się ściele łagodnym bażantem,
słońce zaś niczym pająk na skosach ścian głuchych
rozpinając czerwoną pajęczynę anten
łapie dźwięki i dławi jak niemrawe muchy.

Artyści roślin — dbałe o szyk tulipany
giną barwnie, klękając i wdzięk chroniąc wszystek
oraz zgodnie z literą praw dotąd nieznanych
dnie wirują, i miasta, i świdry dentystek.

Druty drgają jak nerwy. Ciepły biały liścik,
gwiazda w kopercie, kilka słów i płatków miodnych.
Sny dentystek kołują niczym chmara liści
nad wybojami nudnych świdrzanych melodii.

11 czerwca 1936

Jerzy Litwiniuk

WERBEL

Okrągłe słońce — bęben brzasku
budzi żołnierzy. Werbli zew
dudni w koszarach — i w ich trzasku
wiosna trzepoce niczym śpiew,
wiosna trzepoce niczym ptak
w klatce wilgotnych korytarzy
i kreśli dzień codzienny szlak
na mapie nieba.

Gasną gwiazdy —
kochanek wyczerpanych oczy.
Klony w ulewie barw i drzeń.
Pożar poranka, popiół nocy —
i znowu uskrzydłony dzień,
tą wiosną upojony dzień.
Wiatry — trębaczę świtu —
na klonach grają
i klony jak spiżowe surmy dźwięczą.
Panny z rozkoszy umierają,
w ramionach mdleją, jęczą.
Obudzą się, otworzą mgłą zasnute oczy,
usłyszą zew, żołnierskich werbli zew.
To werble wiosny, werble w drogę,
lecz wzburzył serce tamten śpiew,
przypominając werble śmierci.

Młodych kochanków mowa biedna,
garść przez namiętność startej miedzi
niemieje.

Ale jednak
życia wrącego nikt nie spęta!
I dalej wiosny brzmi komenda,
rozkaz radości, hasło szczęścia,
wspaniałych zwycięstw złuda lśniąca.
Stoją koszary — czarny sześcian
i świat otwarty jest na przestrzał,
i bije ranek w bęben słońca...

22 lutego 1935

Jerzy Litwiński

BALLADA O BŁĘKITNEJ ŚMIERCI

Upiory czynszówek przy podwórek kotłach,
schody — jądro mroku wilgotne i kręte,
nocna, przez nikogo nie zmierzona otchłań,
mdlący zaduch pleśni i ciemnych bram smętek.

Zmięty, na podłodze porzucony świstek.
„Nikogo nie winić!” — treść jak zwykle skąpa.
Frunie ćma i księżyc w ciszy uroczystej
niczym kot uczony skrajem dachu stąpa.

Z otwartego kurka sinej pary bukiet,
z tętnicy miedzianej błękitna krew bucha,
zza szafy, co z trwożnym zasypia pomrukiem,
solo na klawirze smutku któż wysłucha?

Jak dusza w natchnieniu ulatuje strumień
i szept obłąkany dwa serca kołysze
spod dna świadomości.

Aż noc zawiruje!
Modry kwiat się wplecie w zdarty kilim-ciszę!

Na łóżko, łódź wzlotów miłosnych i matni,
mysz miesięczna wbiega, cyniczna i wąta.

Wiją się w niesytym spazmie raz ostatni
ciała, kiedy rozkosz z boleścią je splotła.

Schylony nad nimi modry anioł gazu
wieńczy je jak mirtem oponą błękitu
i dusze jak lilie napęlnia ekstazą
zanim się do reszty spalą jak spirytus.

24 grudnia 1935

Jerzy Iłtwin

DNO CISZY

Niczym w kopalni słów i serc ślepi nas węgiel nocy,
natury dno — dno tajemnicy, nieba modre łono;
do zmiętych i podartych płacht podobne sny trzepocą
i wśród ciemności dzwoni śpiewne serce telefonu.

Budzi się chaos zapomniany wraz z dzieciństwa światem,
pradawność wyjrzy przez zasłonę tego co powszednie,
jeziorem wabi srebrna sala i jak modry kwiatek
księżyc na dwoje przełamany na polepie wędnie.

I z twardych łupin miąższ księżyc ciemny i okrągły
dłoń ciszy wyluskuje, co ku sobie wszystko garnie,
perkaty anioł stręczy panny, czas kruszy posągi,
jeno głośników trąby lśnią jak tulipany czarne.

4 stycznia 1936

Jerzy Litwiniuk

KONCERT Z MERKUREGO

Jak wieko kufer, noc mrowisko przytrzasnęła miasta,
w dolinach zapomnienia rosną gorzkie migdały snów,
jak liście sypie się na głowy mieszczan za gwiazdą
gwiazda,
w konwulsjach bólu i bogactwa zamiera dzienny ruch.

Chwast dachów, śpiewające ziele, bujne zarośla anten,
splotą się na noc kochankowie jak gorący chmiel,
pełzają nocne raki lamp po meblach amarantem,
i stygnie ciało, gnije duch, rozkwita pleśń biel.

Ruda kochanka w ciepłym łóżku, w portfelu skraj zorzy,
stare pierzyny, mokre róże, mole pośród ksiąg,
a w radiostacji spiker natchniony położy
na głuchym gramofonie nocy księżycy zimny krąg.

20 maja 1935

Jerzy Litwiniuk

«Z WIERSZY
ROZPROSZONYCH»

PIEŚŃ O BANICIE

Czy słyszeliście piosnkę wygnańca,
czy dobiegły już do was jej dźwięki?
Bunt i rozpacz w niej brzmi obłąkańcza,
są w niej szlochy, westchnienia i jęki.

Gdy me serce bezgłośnie zapłacze,
jakie słowo wykwitnie na wargach?
Czy słyszeliście dumy tułacze,
szamocące się w żalu i skargach?

Krzyk niewiary trujący, złowieszczy,
z dna grząskiego do nieba się wznosi.
Ale mojej nie bójcie się pieśni,
ona was o współczucie nie prosi.

Snu wam z powiek nie spędzi, współcześni,
i do gardła nie rzuci się, naga.
O nie, mojej nie bójcie się pieśni,
choć słowami-biczami was smaga.

Świat jest wielki, bezkresny, szeroki,
przestrzeń mgłami szczelnymi spowita.
Gdzie zatrzyma znużone swe kroki
niepotrzebny nikomu banita?

Świat ogromny, bezkresny, szeroki —
tysiąc miast z kamiennymi domami.
Gdzie zatrzyma znużone swe kroki
tułający się gość zadumany?

Świat gościnny — i jasne w nim miasta,
tysiąc miast z kamiennymi domami.
Ale ludzie jak ptaki bez gniazda
na tym świecie są smutni i sami.

Któż by drugi wytrzymał tak wiele,
któż nadzieję przechowałby w duszy?
Opuścili go źli przyjaciele
i wydali na pastwę katuszy.

Wszyscy pierzchli — i świata niemiły
sam pozostał ze swymi troskami.
Każdy dzień, każda noc kradnie siły...
Cięży sercu samotność jak kamień.

Choć nadzieja przetrwała zawzięta,
niezatarte ma piętno na czole:
to przybłęda, przybłęda, przybłęda —
któż tę gorzką osłodzi mu dołę?

Któż go gestem przyjaznym powita,
dłoń pomocną w potrzebie wyciągnie?
Zazna wzgardy i chłodu banita,
i szyderstwo, i śmiech słyszy ciągle.

Tyle w świecie pułapek, omamów.
Chociaż ludzi nieszczęsnych jest wielu,
on nie słyszy pocieszeń i namów,
on samotnie podąża do celu.

Jeszcze pięści zaciska uparcie
z młodą siłą, zapalem, pragnieniem.
Mimo to z każdym dniem coraz bardziej
chyli skronie pod troski brzemieniem.

Czoło płonie pożarem, gorączką
nowych myśli — i nic ich nie wstrzyma.
A tu nogi na bruku się płaczą,
załamują się kroki pielgrzyma.

Wszystko takie daremne, fatalne —
jakie słowo tę gorycz wypowie?
Obce miasto i łóżko szpitalne...
Tylko z dala — od pól lekki powiew.

Tylko powiew daleki przynosi
zapach roli zoranej, rozgrzanej.
Ach, już tego błakania się dosyć,
tej wędrówki we mgle nieprzejrzanej.

Odpoczynek już bliski, już bliski,
nieuchronny przybliża się koniec.
Pozdrowienie od łąnów ojczystych
lekkoskrzydły przyniesie mu goniec.

Pozdrowienie w tej długiej podróży —
jak melodię znajomą i własną.
Niech się myślą w przeszłości zanurzy,
bo czas wszystko zapomnieć i zasnąć.

Białe ściany się tłoczą i dławią
uporczywą szpitalną zgryzotą.
Kroki, stuk... A godziny wciąż krwawią...
Głuchy kaszel, duszności i krwotok.

Wreszcie noc przyszła w krepę spowita,
czarna wdowa, co łka na pogrzebie.
Sił ostatkiem wyszeptał banita:
— Ukraino, powracam do ciebie.

4—6 czerwca 1932

Jerzy Litwinluk

WSCHÓD SŁOŃCA

Durzy wino nocy dojrzałych,
niepokojnie w czaszce chlupocze.
Ze snu budzę się ociężały,
księżyc moje przysłania oczy.

Nagle słyszę: wyżej i jaśniej
dzwoni błękit w brzasku powodzi.
Zgiń, potworze—księżycu! Zgaśnij!
Oto biały bóg—słońce nadchodzi.

11 marca 1936

Jerzy Pleśniarowicz

ZIELONA WIARA

Roślin i zwierząt bóg zielony
uczy mnie wiary niezgłębionej,
religii nocy prawiosennych,
nocy omamień i uroków
w wiecznej przemianie wciąż niezmiennych.
(Religii nocy wrzących wokół,
gdy grzmiały roślinne chmury w mroku.)

Bóg wszechobecny zieloności
zetrze na popiół moje kości,
by wyrastało, by kipiało
durzących ziół zielone ciało.

Ktoś ty, co kłonisz czoła kurzaw:
ogień, czy bóg, czy ptak, czy burza?

14 marca 1936

Jerzy Pleśniarowicz

DWA TULIPANY...

Dwa tulipany, jak nas dwoje,
których pustynia życia dzieli,
daremnie krzyczą, jeno zdrojem
złociste światła mkną tunele.

Dwóch krwawych kwiatów płomień lity
gna szary cień, tnie szarą ciszę.
Tak rodzi się wszak sztuka, mity
z żalu za czymś dalekim, wyższym...

Za czymś piękniejszym, za nieznanym,
co wzniosłoby nad świata marność.
Dwa rajskie ptaki — tulipany —
za marzeń szal noc karze czarna.

Czerwony płomień obu kwiatów
oświecła półmrok szarosiwy,
czerwony płomień tulipanów —
to znaczy kwitnąć i przeminąć.

Florjan Nieuważny

SPIS RZECZY

<i>Zakochany w życiu poganin</i>	5
--	---

Z tomu «PRZYWITANIE ŻYCIA» («PRYWITANNJA ŽYTŤJA» 1931)

<i>Preludium (Preludija)</i>	19
<i>Stanisław Ullicki</i>	
<i>Stare wino (Stare wyno)</i>	20
<i>Krzysztof Rozner</i>	
<i>Stogi (Ożeredy)</i>	21
<i>Barbara Dohnalik</i>	
<i>Bociany (Łeleky)</i>	22
<i>Wojciech Paszkowicz</i>	
<i>Coda (Coda)</i>	23
<i>Stanisław Ullicki</i>	
<i>Pieśń zawodników (Pisnia zmahuniw)</i>	24
<i>Barbara Dohnalik</i>	
<i>Skok o tyczce (Skok żerdkoju)</i>	26
<i>Barbara Dohnalik</i>	
<i>Dziewczyna z dyskiem (Dziwczyna z dyskom)</i>	27
<i>Barbara Dohnalik</i>	
<i>Ideał (Ideał)</i>	28
<i>Stanisław Ullicki</i>	
<i>Alchemia (Ałchimija)</i>	29
<i>Stanisław Ullicki</i>	
<i>Pszczółka (Bdżoła)</i>	30
<i>Stanisław Ullicki</i>	

„I” („I”)	31
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Pierwszy śnieg (<i>Perszyj snih</i>)	32
<i>Krzysztof Rozner</i>	
Autobiografia (<i>Awtobiohrafija</i>)	33
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	

Z tomu «TRZY PIERŚCIENIE» («TRY PERSTENI» 1934)

Autoportret (<i>Awtoportret</i>)	37
<i>Tadeusz Hollender</i>	
Trzy pierścienie (<i>Try persteni</i>)	38
<i>Bazył Nazaruk</i>	
Elegia o śpiewających drzwiach (<i>Ełehija pro spiwuczi dweri</i>)	39
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Elegia o kluczach do miłowania (<i>Ełehija pro kluczi wid kochannja</i>)	42
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Elegia o pierścieniu młodości (<i>Ełehija pro persteń mołodosti</i>)	46
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Na spotkanie (<i>Nazustricz</i>)	49
<i>Olga Petyk</i>	
Karczma (<i>Korczma</i>)	50
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Na trakcie (<i>Na szlachu</i>)	51
<i>Olga Petyk</i>	
Pejzaż z okna (<i>Pejżaż z wikna</i>)	52
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Czarki (<i>Czarky</i>)	53
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Książę (<i>Kniaź</i>)	54
<i>Florian Nieuważny</i>	
Wieś (<i>Selo</i>)	55
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	

Boże Narodzenie (<i>Rizdwo</i>)	56
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Kolęda (<i>Kolada</i>)	57
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Zielona ewangelia (<i>Zelena jewanhelija</i>)	58
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Pralato I (<i>Pralito I</i>)	59
<i>Florian Nieuważny</i>	
Pralato II (<i>Pralito II</i>)	60
<i>Tadeusz Hollender</i>	
Las (<i>Lis</i>)	61
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Elegia o pierścieniu nocy (<i>Elehija pro parsteń noczi</i>)	62
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Ranek (<i>Ranok</i>)	64
<i>Helena Kozusko</i>	

Z tomu «KSIĘGA LWA» («KNYHA LWA» 1936)

Znak Lwa (<i>Znak Lwa</i>)	67
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Sześć strof mistyki (<i>Szist' strof mistyki</i>)	69
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Płacz tarnin (<i>Skarha ternu</i>)	71
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Tarnina śpiewa (<i>Teren spiwaje</i>)	72
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Pieśń o czarnym laurze (<i>Pisnia pro czorni ławry</i>)	73
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Zaręczyny (<i>Szłub</i>)	75
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Wiośniana noc (<i>Wesniana nicz</i>)	76
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Róże (<i>Trojandy</i>)	77
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Goździki (<i>Hwozdyky</i>)	78
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	

Peonie (<i>Piwoniji</i>)	79
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Tulipany (<i>Tiulpany</i>)	80
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Fiołki (<i>Fiałky</i>)	81
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
Ars poetica (<i>Ars poetica</i>)	82
<i>Florian Nieuważny</i>	
Monumentalny krajobraz (<i>Monumentalnyj krajewyd</i>)	83
<i>Tadeusz Hollender</i>	
Plac aniołów (<i>Płoszcza janholiw</i>)	84
<i>Florian Nieuważny</i>	
Apokalipsa (<i>Apokalipsis</i>)	85
<i>Florian Nieuważny</i>	
Pieśń o niezniszczalności materii (<i>Pisnia pro neznyszczest-</i> <i>nist' materiji</i>)	86
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Oceania albo w dolinach morskich lwów (<i>Okeanija abo</i> <i>w dołynach morskich lewiw</i>)	87
<i>Florian Nieuważny</i>	
Polarium (<i>Polarija</i>)	88
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Burza (<i>Buria</i>)	89
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Cud (<i>Dywo</i>)	90
<i>Barbara Dohnalik</i>	
Kołodziejstwo (<i>Kołodijstwo</i>)	91
<i>Helena Kożuszek</i>	
Czeremchy (<i>Czeremchy</i>)	92
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Urywek (<i>Urywok</i>)	93
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Zapomniana ziemia (<i>Zabuta zemla</i>)	94
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Pod całunem zachodu czerwonym (<i>Czerwona kytajka</i>)	95
<i>Bazyli Nazaruk</i>	

Do ziemnych gwiazd (<i>Do chłodnych zir</i>)	96
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Słowo o czarnym pułku (<i>Słowo pro czornyj połk</i>) . .	97
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	

Z tomu «ZIELONA EWANGELIA» («ZEŁENA JEWANHELIJA» 1938)

Z podrozdziału *Księga pierwsza*

Zaproszenie (<i>Zaproszennja</i>)	103
<i>Krzysztof Rozner</i>	
Życie po grecku znaczy bios (<i>Żyttja po hrečky bios</i>) .	104
<i>Barbara Dohnalik</i>	
Do istot z gwiazdy zielonej (<i>Do istot z zelenoji zori</i>) .	105
<i>Andrzej Jaworski</i>	
Epicki wieczór (<i>Epicznyj wieczir</i>)	106
<i>Bazyli Nazaruk</i>	
Osiem strof ekstazy (<i>Ekstatycznyj wośmystrof</i>) . . .	108
<i>Florian Nieuważny</i>	

«PIERWSZE LIRYCZNE INTERMEZZO»

Biblii rozdział pierwszy (<i>Persza hlawa bibliji</i>) . . .	113
<i>Bazyli Nazaruk</i>	
Weselna (<i>Wesilna</i>)	114
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Chmiel (<i>Chmil</i>)	115
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Dwa serca (<i>Dwa sercia</i>)	116
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Tarnina (<i>Ternyna</i>)	117
<i>Bazyli Nazaruk</i>	
Podkowy (<i>Pidkowy</i>)	118
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Barwinkowa szczerłość (<i>Barwinkowa szczyrist'</i>) . . .	119
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Mały hymn (<i>Małyj himn</i>)	120
<i>Stanisław Ulicki</i>	

Portret cieśli (<i>Portret teśli</i>)	121
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Syn cieśli (<i>Tesliw syn</i>)	122
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Jarmark (<i>Jarmarok</i>)	123
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Zazula (<i>Zozula</i>)	124
<i>Florian Nieuważny</i>	
Do dna (<i>Do dna</i>)	125
<i>Florian Nieuważny</i>	
Mój cech (<i>Mij cech</i>)	126
<i>Florian Nieuważny</i>	

Z podrozdziału *Księga druga*

Chleb powszedni (<i>Chlib nasusczyj</i>)	129
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Byki i buki (<i>Byky j buky</i>)	130
<i>Olga Petyk</i>	
Znak dębu (<i>Znak duba</i>)	131
<i>Bazyli Nazaruk</i>	
Noce świętojańskie (<i>Idolśki noczi</i>)	132
<i>Krzysztof Rozner</i>	

«DRUGIE LIRYCZNE INTERMEZZO»

Szynkarskie czary (<i>Korczmarśki czary</i>)	137
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Jaworowa opowieść (<i>Jaworowa powist'</i>)	138
<i>Barbara Dohnalik</i>	
Czeremchowy wiersz (<i>Czeremchowyj wirsz</i>)	139
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Kazanie do ryb (<i>Propowid' do ryb</i>)	140
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Olchy (<i>Wilchy</i>)	141
<i>Florian Nieuważny</i>	

Kalina (<i>Kałyna</i>)	142
<i>Florian Nieuważny</i>	
Zima (<i>Zyma</i>)	143
<i>Florian Nieuważny</i>	
Zachód (<i>Zachid</i>)	144
<i>Florian Nieuważny</i>	
Wiosna (<i>Wesna</i>)	145
<i>Florian Nieuważny</i>	
Wiśnie (<i>Wyszni</i>)	146
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Mit (<i>Mif</i>)	147
<i>Florian Nieuważny</i>	
Wieś (<i>Selo</i>)	148
<i>Florian Nieuważny</i>	
Chaty (<i>Chaty</i>)	149
<i>Florian Nieuważny</i>	
Powrót (<i>Poworot</i>)	150
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Kraina zwiastowania (<i>Krajina błahowiszczannja</i>) . .	151
<i>Olga Petyk</i>	

Z podrozdziału *Księga trzecia*

Modlitwa za dusze topielic (<i>Mołytwa za duszi topilnyć</i>)	155
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Posły od nocy (<i>Posły noczi</i>)	156
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Dama dzwinkowa (<i>Dzwinkowa pani</i>)	157
<i>Stanisław Ullicki</i>	
Dom za gwiazdą (<i>Dim za zoreju</i>)	159
<i>Olga Petyk</i>	

Z tomu «OBROTY» («ROTACIJE» 1938)

Obroty (<i>Rotaciji</i>)	163
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	

Werbel (Werbel)	165
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Ballada o błękitnej śmierci (<i>Balada pro błakytnu smert'</i>)	167
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Dno ciszy (<i>Dno tyszi</i>)	169
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Koncert z Merkurego (<i>Koncert z Merkurija</i>)	170
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	

«Z WIERSZY ROZPROSZONYCH»

Pieśń o banicie (<i>Pisnia pro iznoja</i>)	173
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Wschód słońca (<i>Schid soncia</i>)	177
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Zielona wiara (<i>Zelena wira</i>)	178
<i>Jerzy Pleśniarowicz</i>	
Dwa tulipany... (<i>Tiulpany dwa...</i>)	179
<i>Florian Nieuważny</i>	

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1981 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 3000+315 egz. Ark. wyd. 3,6 Ark. druk. 11,75

Papier druk. mat. kl. III, 71g, 70×100

Oddano do składania w marcu 1981 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1981 r.

Druk ukończono w październiku 1981 r.

Zakłady Graficzne w Toruniu

Nr zam. 535. L-28

Cena zł 20,—

106-42